Na str. 5: VERITAS rozpoczyna akcję odczytową

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 29/108 Londyn, dnia 17 lipca 1949 CENA 9 d.

BEATA OBERTYŃSKA

Z cyklu „ONE"

Lilio andegaweńska — srebrna i błękitna!
Klęsce twej i zwycięstwu na imię jest — Litwa!
Ofiarą zadławiony płomieniu,
coś popiół — w miód miłosierdzia
a piołun — w kadzidło przemienił!
...Jakże mocno ten żyje, kto sobie zamiera...
...Jakże dym całopalny prosto wzwyż się dźwiga...
Najbielsza z pereł
— Jadwiga.

OSKAR HALECKI

ŚWIATŁO, SIŁA I MOC



Jacopo de Rubeis (Collezione di ritratti dei sovrani europei)

KRÓLOWA JADWIGA

W ROKU 1948 obchodziliśmy wraz z całą Europą stulecie tak zwanej „Wiosny Ludów". Było to zupełnie uzasadnione, bo rok 1848, choć zawiódł nadzieje Polaków, tak samo jak wielu innych narodów, uwydatnił międzynarodowy charakter sprawy polskiej i jej symboliczne znaczenie w walce o wolność. To też zrozumiałym jest, że ta różnica wydarzeń stosunkowo bliskich i niezmiernie aktualnych usunęła w cień trzechsetlecie smutnego zwrotu w naszych dziejach, związanego z wystąpieniem Chmielnickiego, a nawet wizję Złotego Wieku, jaką winno było wywołać czterechsetlecie śmierci Zygmunta Starego. Rok 1949 powinien jednak stanowczo skierować myśli nasze ku dawniejszym jeszcze czasom wielkości i pomyślności Polski i ku postaci, w której się wcieliły, lat temu 550, najpiękniejsze nasze tradycje religijne i narodowe.

W obecnych okolicznościach rocznica śmierci Królowej Jadwigi nie będzie niestety okazją do obchodów jubileuszowych, które mogłyby tylko uwydatnić bolesny rozdźwięk między świetną przeszłością a smutną teraźniejszością. Wspomnienie tej, dzięki której Polska niosła ku wschodowi wiarę i kulturę katolickiego zachodu wraz z zasadami wolności i godności ludzkiej, przeciwstawi się aż zbyt jaskrawo dzisiejszej tragedii Polski, poddanej wpływom niewiary i despotyzmu Rosji, która jej skrwawioną i okrojoną ziemię chciałaby użyć jako odskocznię dla całkowitego ujarzmienia chrześcijańskiego zachodu. Żaden zaś obchód ku czci wawelskiej pani nie mógłby się odbyć ani w Wilnie, ani we Lwowie, w tak nieszczęśliwych dziś miastach, które dzięki Jadwidze stały się na przeszło pół tysiąca lat ogniskami katolicyzmu i polskości.

Ale rocznica 17 lipca 1399 r. powinna być czymś więcej aniżeli okolicznościowym obchodem tryumfów doczesnych chociażby obliczonych na wieki i opartych na najsłuszniejszych zasadach. Nie o nich myślała wielka królowa, gdy w tym dniu odchodziła w zaświaty, opromieniona w przekonaniu współczesnych wyższą nad wszelkie ziemskie zaszczyty aureolą świętej. Ta właśnie świętość czyni ją nam tak dziwnie bliską mimo odległości stuleci, tak potrzebną jako orędowniczkę w naszej obecnej niedoli, gdy wszystko, co ona ukochała, a nam kazała czcić i miłować, jest zagrożone w podstawach.

Potrzeba nam dziś orędownictwa świętych bardzo różnych. W małych stosunkowo sprawach naszych przeżyć osobistych, które nas przygniatają jako jednostki, staramy się podążać „małą drogą" św. Teresy od Dzieciątka Jezus ku Jej prostej, przystępnej, niemal jeszcze współczesnej nam postaci, równie bliskiej wszystkim narodom i stanom. W historycznym natomiast kataklizmie, w którym cierpimy za Ojczyznę i wraz z Ojczyzną, historycznej też potrzeba nam patronki, przemawiającej przed tronem Bożym za narodem, którego losy kształtowała za życia. Nie musi to być patronka orężna, któraby broniła swej ziemi rodzinnej, jak to czyniła lat temu również przeszło 500 św. Joanna d'Arc. Korony Polskiej, dziś zdartej z głowy orła białego, najlepiej będzie bronić ta, która niegdyś nosiła ją sama w codziennej trosce o sprawiedliwy pokój, a nigdy chyba nie przestała wstawiać się za nią za pośrednictwem Królowej świętych, wzywanej zarazem jako Królowa Korony Polskiej i Królowa Pokoju.

W historycznej chwili obecnej, gdy Polsce Piastów i Jagiellonów zabrakło niestety wielkich przywódców i kierowników, niech ich zastąpi wskrzeszona we wdzięcznej pamięci władczyni, która w dodatku do wszystkich ludzkich zalet i uzdolnień posiadała w najwyższym stopniu specjalne łaski Boże, potrzebne na jej stanowisku. To, czego dokonała jako Królowa w bardzo młodym wieku i w przeciągu lat stosunkowo niewielu, jest tak niezwykłe i wyjątkowe, tak trudne do wytłumaczenia, czysto ludzkimi pierwiastkami, że narzuca się wprost interpretacja nadprzyrodzona, myśl o cudzie. Jest to oczywiście tak nieuchwytne i niemożliwe do konkretnego udowodnienia, że nie mogłoby być użyte jako argument w procesie beatyfikacyjnym lub kanonizacyjnym. Ale może właśnie dlatego tak mało znamy cudów w zwykłym znaczeniu, zdziałanych za przyczyną Królowej Jadwigi — poza legendami mamy tylko świadectwa o dwóch takich cudach, spisane dwadzieścia lat po jej śmierci —, ponieważ do dziedziny cudów zaliczyć należałoby właściwie całą jej historyczną spuściznę.

W układzie krewskim z 14 sierpnia 1385 r. działacze polityczni, którzy niezależnie od królowej, wówczas jeszcze nieświadomej swych wielkich przeznaczeń, przygotowali związek państwowy Polski z Litwą i Rusią, nie omieszkali przypomnieć, że o nawrócenie Litwy, niezbędny przedwstępny warunek takiego związku, starali się oddawna najznakomitsi władcy. Starali się zaś daremnie, mimo wiekowych już wysiłków misyjnych i długiego szeregu dobrze obmyślanych projektów, które, rzecz dziwna, zawsze zawodziły w ostatniej chwili. Jakżeż łatwo także układ krewski mógł skończyć się podobnym zawodem! Sam Jagiełło, który miał zrealizować to wszystko, co w Krewie wskazywano jako program przyszłości, mało wówczas dawał gwarancji, że trudne dzieło chrystianizacji ostatniego w Europie pogańskiego narodu przeprowadzi skuteczniej od swych wybitnych poprzedników.

Co więcej, tym razem niełatwa sama w sobie sprawa chrztu władcy, dynastii i narodu została związana z jeszcze o wiele zawilszym zagadnieniem stworzenia zupełnie nowego systemu politycznego. Doświadczenie historii wszystkich stuleci i kontynentów dowodzi olbrzymich trudności, jakie napotyka zbudowanie tego, co się określa najogólniej mianem federacji. To też w układzie krewskim, ani nawet w żadnym z następnych aż chyba w Unii lubelskiej 1569 r., nie zdobyto się na ścisłą i jasną formułę prawną, którąby określiła stosunek wzajemny obu państw, tak różnych od siebie pod względem struktury wewnętrznej, wiary, języka i całej wogóle kultury. Dopiero później, w Horodle i Lublinie, uświadomiono sobie, że Unia, jak ją najzwięźlej nazywano, wogóle nie mogła oprzeć się na martwych pergaminach i literze prawa, ale tylko na duchu, który je ożywiał, a który już w krótkie słowa krewskie, tak trudne do interpretowania, tchnęła w najbliższych zaraz latach właśnie Królowa Jadwiga.

Niestety, nie znamy wszystkich szczegółów jej akcji i nie zawsze możemy sobie zdać sprawę z metod działania niepospolitej osobistości, która między 12 a 25 zarazem ostatnim rokiem życia musiała zająć stanowisko wobec najtrudniejszych zagadnień politycznych, a nie później jak w 18 zaczęła wyciskać na nich swe swoiste piętno. Niedawno zwrócono uwagę na to, że w jednym z takich wypadków, w świetle przypadkowo zachowanych źródeł, jej inicjatywa mogła by się wydawać raczej niefortunna. Chodzi o list, jaki wysłała do Witolda w r. 1398 z żądaniem płacenia jej daniny z ziem litewskich i ruskich, które to żądanie uraziło Witolda i Litwinów, i popchnęło ich do pokoju odrębnego z Krzyżakami.

Otóż nawet gdyby tak było, jednorazowy błąd taktyczny nie wpływałby na ogólną ocenę jej roli dziejowej ani tymbardziej jej osobistej świętości. Ale nie mamy wcale tekstu jej korespondencji z Witołdem, lecz tylko tendencyjną relację krzyżacką, która — jak zwykle — wyolbrzymiała wszystkie rozdźwięki w rodzinie królewskiej, a po świeżym udaremnieniu przez Zakon akcji pokojowej Jadwigi, chciała ją zdyskredytować politycznie. Wiemy natomiast dobrze, że po tym zagadkowym incydencie sprawa zakończyła się najpóźniej w roku następnym całkowitym pojednaniem króla, królowej i Witołda i co więcej, wyjaśnieniem stosunków polsko-litewskich. Jakakolwiek więc była taktyka Jadwigi, której nie można oceniać według zwykłej formalistycznej miary, istota jej wystąpienia, a zwłaszcza wynik ostateczny, ukazują ją nam właśnie w tej pojednawczej roli prawdziwie chrześcijańskiej władczyni, jaką uwieczniła tradycja.

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KRÓLOWA JADWIGA

Jakże cię teraz sobie wyobrazić
Taką jak jesteś w Matejki obrazie...
Królowo, której korona misternie
Rzeźbiona w ostry i bolesny gotyk
Taką surowość ma w iglicach złotych,
Ze nie koroną się zdaje — lecz cierniem
Zjeżonym twardo nad czołem... I Święta
W andegaweńskie lilie owinięta,
Co dokonawszy zleconego dzieła
Siadła na tronie cicha — i spoczęła.

Gdy patrzę teraz przez tragiczne lata,
Przez nieobjęte przestrzenie pół świata
Na tamten obraz — to widzę tron pusty;
Odblask purpury na rzeźbach się wdzięczy,
Spływa z oparcia na gryfy poręczy,
Sięga podnóżka czerwonymi usty
I tak się lśnieniem na stopniach układa,
Jak pocałunkiem na stóp twoich śladach.

A ty — daleko... Po litewskich gajach,
Po nadniemeńskich łąk zielonym chłodzie
Biegniesz jak wtedy, gdy Dymitr z Goraja
Klękając drogę ci sobą zagrodził.

Włos rozpleciony niby czarna wstęga
To ponad głową się wije, to sięga
Zdyszanej piersi... W oczach ogień płonie,
I świeci topór w zaciśniętej dłoni
Błyskawicowym, piorunowym lśnieniem,
I cała jesteś gniewem i płomieniem.

Znów się powtarza to, co niegdyś było,
Co przecierpiane, przetrwane, przeżyte:
Sercu twojemu wydzierają miłość —
Dusze w chrzcie świętym u Niemna umyte!
Lecz dzisiaj bunt twój w łzach się nie rozpłynie
I Pan ofiary drugiej już nie żąda;
Z ocalałego krzyża na równinie
Chrystus z miłością na ciebie spogląda;
Nad tobą wojska anielskie jak chmury
Zakryły niebo srebrzystymi pióry,
Co podniesionym nad głową mieczem
Podobnie — dzwonią i lecą z odsieczą.

A ziemia, z której wypędzają Boga,
Nagli cię szeptem upartej modlitwy.
Święta Jadwigo — Apostołko Litwy —
Broń nas od pogan!

Tradycja ta — rzecz rzadka w podobnych wypadkach — uczciła pamięć Jadwigi właściwie tak niedostatecznie, że Polska, dla której wszystko poświęciła, popełniła wobec niej cały szereg grzechów zaniedbania. Jeden z nich został słusznie wytknięty przez historyków Uniwersytetu Krakowskiego. Trzeba go dziś przypomnieć tymbardziej, że rocznica śmierci królowej jest zarazem także rocznicą najznakomitszej spośród jej licznych fundacji religijnych, humanitarnych i kulturalnych. Wszak jej testament i zawarty w nim zapis umożliwił wskrzeszenie i ostateczne zorganizowanie Uniwersytetu, który już 35 lat przedtym został założony przez Kazimierza Wielkiego, lecz nie zdołał się należycie rozwinąć. I otóż jest to wysoce niesprawiedliwe, że wznowiony, dzięki długim staraniom Jadwigi i dzięki jej bliskim stosunkom ze Stolicą Apostolską, Uniwersytet, któremu ona wytknęła jego misję dziejową, nazwano nie jej, lecz Jagiełły imieniem. Życzliwość, jaką też król okazywał Uniwersytetowi, który dopiero w rok po śmierci królowej został otwarty formalnie na nowo, nie usprawiedliwia tej nieścisłości, a raczej niewdzięczności.

W związku z tą kwestią terminologii należy podnieść rzecz jeszcze ważniejszą. Dużo się mówi o t. zw. **idei jagiellońskiej**, nie zdobywszy się zresztą dotąd na jej definicję. Mylnie łączy tę ideę wielu obcych a nawet i Polaków, zbyt skłonnych do rewizjonizmu historycznego, z imperialistycznym programem wybujałego nacjonalizmu polskiego. W rzeczywistości było całkiem inaczej, co dobrze zrozumieli istotni przedstawiciele integralnego nacjonalizmu, zawsze krytycznie usposobieni wobec idei jagiellońskiej. Niesłuszną też jest ironiczna uwaga bardzo wybitnego skądinąd historyka polskiego, że „Jagiellonowie o niej nie wiedzieli". Ale chociaż Jagiełło i jego potomkowie z innego małżeństwa znakomicie się przyczynili do realizacji tej idei, była ona właściwie ideą Jadwigi, którą ona dopiero stopniowo uświadamiała mężowi, a jako spuściznę nie krwi, lecz ducha przekazała jego następcom.

Grzechem zaniedbania było wreszcie to, że starania o kanonizację królowej, raz po raz rozpoczynane, nigdy nie zostały doprowadzone do końca.

Słusznie zauważono, że w czasach największego znaczenia i wpływu Polski zawiniła tu dynastia, która sprawę kanonizacji św. Kazimierza, zresztą ze wszech miar zasłużonej, bardziej sobie wzięła do serca i przeprowadziła stosunkowo szybko. Ale jeszcze więcej zawinił wielki dziejopis następnego zaraz pokolenia, Jan Długosz, który wcale się nie odznaczał stronniczością wobec Jagiellonów, ale wobec Jadwigi popełnił więcej niż grzech zaniedbania, gdy w charakterystycznym, niestety, dla wielu rodaków zamiłowaniu do plotek, tak bałamutnie i z oczywistymi sprzecznościami przedstawił stosunek Jadwigi do Wilhelma austryjackiego, że stał się źródłem najbardziej krzywdzących dla królowej nieporozumień, które długo, choć najniesłuszniej, uważano za przeszkodę do jej kanonizacji.

Wobec tego wszystkiego tym bardziej zasługuje na uznanie, a nawet robi wrażenie czegoś naprawdę cudownego, wzruszający kult, jakim naród polski przez pięć i pół wieków nie przestawał otaczać Jadwigi. Ta istna „vox populi" czasem doprowadzała nawet do błędnego mniemania, jakoby królowa już została wyniesiona na ołtarze, przyczym oczywiście mieszano ją z żoną Henryka Brodatego, istotnie już oddawna świętą



Ryt. Corsi *(Storia della Polonia. Dottore Bernardo Zaydler. Volumo primo).*

Jagiełło i Wilhelm w sporze o Jadwigę

(Na tym rysunku czysto fikcyjnym jedyny szczegół autentyczny, to zaznaczenie niezwykle wysokiego wzrostu Jadwigi).

Jadwigą. Potwierdza to jednak wymownie, że w świadomości ogółu, któremu obce pozostały spory uczonych o datę jej urodzin i o czysto doczesne sprawy jej polityki, stoi ona godnie obok tamtej Jadwigi z XIII wieku, która, choć jak ona sama z obcych do nas przybyła stron, stała się wzorem polskiej świętości.

Czasy, w których żyła matka bohatera spod Legnicy, porównano z czasami niemniej tragicznymi, w których nam żyć wypadło. Pokrzepienia jednak nie możemy czerpać z powierzchownych analogii z innym bolesnym kryzysem dziejowym, lecz raczej z tego niewiele bliższego, a mimo to niezapomnianego okresu pełnego radości i nadziei, jaki za cenę własnych cierpień stworzyła dla Polski druga Jadwiga. Okres ten zawiera w sobie syntezę, przez nią natchnioną, tego wszystkiego, co było największe w całym millenium naszej historii. A skoro słusznie zaczynamy się przygotowywać do tej najpamiętniejszej rocznicy, jaką będzie za lat już tylko 27 obchód tysiąclecia katolickiej Polski, trzeba dołożyć wszelkich starań, aby wówczas, w uwolnionej, da Bóg, Ojczyźnie, cały naród mógł się modlić o wstawiennictwo świętej Królowej Jadwigi przed tym samym wawelskim ołtarzem, z którego sam Chrystus odpowiedział tej wybranej duszy, gdy Go prosiła o światło, siłę i moc.

Oskar Halecki

Echa artykułu O. prof. Bocheńskiego **DYSKUSJE**

ZDZISŁAW STAHL

LENIN JAKO PATRON WALKI Z LENINIZMEM?

ISTOTNA myśl artykułu I. M. Bocheńskiego, dominikanina i profesora na uniwersytecie katolickim we Fryburgu, to niewątpliwie wezwanie do walki bezkompromisowej, wytrwałej i skutecznej, prowadzącej do zwycięstwa nad bolszewizmem, nazwanym przez autora „lawiną, która sunie ... od wschodu" i grozi zniszczeniem naszemu światu. To, co nasze i co jest przedmiotem ataku, określa autor jako „typ cywilizacji nieskończenie więcej warty niż to, co nam ofiaruje Rosja". Ta myśl przewodnia autora jest, oczywiście, słuszna i ze swojej strony również nie wierzę w skuteczność walki, gdy ją prowadzą „zwolennicy kompromisów, intelektualnych coctailów, myślowe linoskoczki, miękkie charaktery i płytkie umysły", jak soczyście pisze Ojciec Bocheński, oceniając tak stylem leninowskim i chyba zbyt ryczałtowo przedstawicieli świata zachodniego. Niemniej sądzę, że metoda walki, zalecana i ujawniona w tymże artykule przez autora musi budzić niejedną wątpliwość.

Wbrew swemu frapującemu tytułowi omawiany artykuł mówi przede wszystkim o Leninie, a bardzo mało o filozofii św. Tomasza z Akwinu. W gruncie rzeczy jest to szkic o wielkości Lenina na tle nędzy całej filozofii zachodniej z wyłączeniem tomizmu; o wielkości, której zrozumienie i uznanie winno, według autora, ułatwić z jednej strony walkę z leninizmem a z drugiej utorować drogę zwycięstwu filozofii tomistycznej.

Przewidując widać zdziwienie czytelnika z powodu wyrazów najwyższego uznania, którymi hojnie darzy przywódcę obozu wrogiego i zwalczanego, I.M.B. wyjaśnia w przypisku, że „potępienie w czambuł to rzecz niechrześcijańska, nietomistyczna i po prostu nieinteligentna". Otóż, chyląc czoła przed tą zasadą, należy jednak zauważyć, że w praktyce osiągnięcie obiektywizmu doskonałego jest rzeczą trudną i rzadką, nawet gdy chodzi o myślicieli abstrakcyjnych i kierowanych w przekonaniu własnym jedynie drogowskazem czystego rozumu i logiki. Najczęściej przerzucamy się z subiektywizmu w subiektywizm i albo jesteśmy skłonni spostrzegać źdźbło w oku przeciwnika, nie zauważając belki we własnym, albo — jak to ostatnio nazbyt często obserwujemy na polu walki ideowej po naszej stronie barykady — zaczynamy objawiać ślepotę, gdy chodzi o kłody w oku potężnego wroga, wykazując natomiast wzrok znakomity przy odkrywaniu słabości środowiska własnego.

Myślę, że I.M.B. również nie ustrzegł się przed tą skłonnością i wprawdzie wyzbył się bardzo skrzętnie wszelkich uczuć niechętnych do Lenina, ale miejsce po tych emocjach nie pozostało próżnią, lecz zapełniło się uznaniem o temperaturze uczuciowej, wcale wysokiej. W jego artykule znać wyraźnie skutki tego procesu, ujawnione z jednej strony w entuzjastycznej charakterystyce zalet Lenina i z drugiej w druzgocącym, ryczałtowym potępieniu filozofów zachodnich.

I tak, zestawiając to wszystko, co napisał autor o Leninie, dowiadujemy się, że jest to człowiek olbrzymiej miary, niezłomny, o doskonałej intuicji, większy od Cezara i geniusz, geniusz czynu w imię myśli. W tonie tychże superlatywów I.M.B. zaleca lekturę dzieł Lenina jako najpotrzebniejszą i nawet najbardziej zbawienną.

Po takim wizerunku Lenina, dowiadujemy się z kolei, że „Europejczycy i Amerykanie, sami przeżarci pozytywizmem, filozofią gardzący ... sprowadzają ... geniusz Lenina do swojej małej prowincjonalnej, ciasnej tępej miary". A poza tym są to jedynie — jak cytowałem już wyżej — „myślowe linoskoczki, miękkie charaktery i płytkie umysły". Muszę stwierdzić, że czytelnik odnosi wrażenie nietyle obiektywizmu autora, co jego nastroju entuzjastycznego z jednej, a — potępionego przez niego samego — typowego i dosłownego „potępienia w czambuł", mianowicie całej filozofii zachodniej z drugiej strony. Trudno się oprzeć wrażeniu, że to właśnie „obiektywne uznanie" dla zalet zwycięskiego Lenina, uległo takiej ewolucji i rozerwało ramy zimnej, intelektualnej przedmiotowości, gdy równocześnie, często trafne i wnikliwe stwierdzenie słabości filozofii zachodniej, zaprowadziło wybitnego pisarza i duchownego do skrajności w kierunku przeciwnym.

Tak samo nie wydaje się, aby to wszystko, co czytamy w artykule I.M.B. na temat Lenina, jako filozofa, było obiektywne, a także jasne i konsekwentne. Co więcej, po przeczytaniu tych olśniewających uwag, czytelnik jest oszołomiony i musi dopiero z wysiłkiem porządkować, co mu z wielką pewnością siebie, podano do wierzenia. Jakto? Lenin: 1) nie tylko nie jest filozofem, ale jest ignorantem; 2) jest zdrowo i odważnie myślącym człowiekiem i zarazem 3) nienawiść do Boga mu „zaćmiewa zdrowy sąd i paczy najtrafniejsze myśli"; 4) jego „magnum opus" filozoficzne jest tylko barbarzyńskim pamfletem, ale równocześnie 5) ta — nie istniejąca poza „doskonałymi intuicjami" — filozofia ma być tak potężna, że z całej filozofii zachodniej jedynie tomizm może jej sprostać. Trudno zebrać w logiczną całość ten — według słownika autora — „coctail" sprzeczności. Czy można równocześnie myśleć zdrowo i mieć myśl spaczoną? być ignorantem, autorem jedynie płytkiego i barbarzyńskiego utworu filozoficznego i zarazem twórcą filozofii o ciężarze gatunkowym tomizmu?

Jeśli by I.M.B. napisał, że leninizm jest potężny, jako publicystyka nienawiści i ponury wtór do rewolucyjnych rzezi, a tomizm jest najbardziej powołany do opanowania tego kryzysu i chaosu w świecie naszej cywilizacji, którego następstwem są m. in. poważne wpływy doktryn Lenina, można by się na to zgodzić. Zestawienie jednak tego wybuchu nienawiści i niszczycielstwa z wielką budową twórczej myśli katolickiej, która kształtowała poprzez stulecia olbrzymią pracę cywilizacyjną narodów, wydaje mi się co najmniej paradoksem.

Autor używa na określenie Lenina wielokrotnie słowa geniusz. Nie chcę się wdawać w scholastyczny spór na temat znaczenia tego słowa, ale sądzę, że bolszewizm jest potężny jedynie w swojej negacji, a niszczycielstwo, które jest stokrotnie łatwiejsze od tworzenia, czy zasługuje na miano geniuszu? Zagadnienie to wiąże się istotnie ze sprawą leninowskiej „żywiołowej nienawiści do Boga", którą I.M.B. uważa za niezrozumiałą w umysłowości Lenina. Otóż ze swojej strony sądzę, że jest ona właśnie najłatwiej zrozumiała i najbardziej oczywista w świetle jego pism i całej roli dziejowej.

Bo wszakże dzieło Lenina to jedynie znakomity sprawny system rozbijania społeczeństw, niszczenia tego co zostało przez wieki stworzone: wewnętrznych wiązań społecznych i osobowości duchowej jednostki, w której te wiązania miały dobrowolne, moralne oparcie, aby na to miejsce postawić jedynie przymus zewnętrzny. Jest to system, który na podstawie racjonalistycznej koncepcji materializmu, odrzucając wiarę i miłość bliźniego, zespół uczuć twórczych, operuje tylko jednym uczuciem ludzkim i na nim wszystko opiera: na nienawiści, wszelkich stopni, odcieni i rodzajów. Jest to w gruncie rzeczy pseudoreligia nienawiści jednostek i społeczeństw niższych do wyższych, opartych o cywilizację stuleci, pseudo-religia*), ufundowana historycznie na starym imperialiźmie Moskwy i uzupełniona znakomicie opracowanym systemem rozbijania społeczeństw od wewnątrz, metodą rozpalania wszystkich iskier nienawiści i dążeń rozkładowych, tlejących z natury rzeczy wewnątrz społeczności ludzkiej i mobilizowania ich następnie przeciw siłom twórczym.

Ale co umie bolszewizm na gruzach zniszczeń stawiać? Jedynie maszynę terroru i niewolnictwa, system, który jest cofnięciem się do najbardziej prymitywnych form państwowych. Lenin zapowiadał, że po zwycięstwie jego programu, państwo jako organizacja przymusu stanie się wogóle zbyteczne, a w rzeczywistości jego dogmatyka nienawiści dała wyniki wręcz odwrotne. Walczył z caratem, jako z „więzieniem ludów", ale to co stworzył jest najoczywistszym dowodem klęski jego „geniuszu".

Wszystko to, jak sądzę, jest najściślej związane z postawą „nienawiści do Boga", która przeto — wbrew tezie I.M.B. — wydaje mi się najzupełniej zrozumiała i naturalna u Lenina. Dlatego też nie mogę się zgodzić również z określeniem twórcy bolszewizmu, jako „zdrowo myślącego człowieka". Czy, w płaszczyźnie tomizmu, nienawiść do Boga może się łączyć ze zdrową myślą? Czy ateistyczna myśl Lenina może dać Rosji „zadatek zdrowej filozofii", któ-

---

re to twierdzenie „podpisuje oburącz" Ojciec I.M. Bocheński?

Zasadniczym i końcowym wnioskiem artykułu I.M.B. jest, że w naszej walce „wzorem dla nas musi być obecnie nie Churchill, nie Blum, nie żaden z naszych polityków, ale Lenin: Lenin myśliciel i niezłomny bojownik fałszywej idei, Lenin, geniusz czynu, który potrafił czyn swój oprzeć na myśli" Można napewno zgodzić się, że ani Churchill ani Blum nie powinni być nam wzorami w walce przeciw bolszewizmowi, ale Lenin? Jesteśmy, nie po raz pierwszy, zdumieni przy czytaniu tego frapującego artykułu: **Lenin miałby patronować naszej walce z leninizmem?** Paradoks jest istotnie oryginalny, ale jest to, jakby ktoś w średniowieczu wzywał chrześcijan na wyprawę krzyżową pod znakiem Mahometa, albo stawiał za wzór Lucyfera, który wprawdzie — jak Lenin — żywiołowo nienawidzi Boga, ale jest niezłomnym i genialnym bojownikiem swojej fałszywej idei.

Paradoksalny pomysł I.M.B. nie może być oczywiście przyjęty dla przyczyn wielu, z których najważniejsze krótko przedstawię. Racjonalista i profesor logistyki I.M.B., zdaje mi się, nie docenia psychologicznej strony wzorów i symbolów, zwłaszcza kiedy stają się nimi ludzie żywi. Myślę, że w praktyce Lenin otrzymawszy od I.M.B. do odegrania rolę takiego „wzoru", przysporzył by więcej wyznawców sobie samemu, albo owym — tak słusznie potępionym przez autora — oportunistom i linoskoczkom myślowym, niż niezłomnych bojowników tomizmowi. Czyż można kazać się wzorować na człowieku z powodu jego tylko niektórych cech, skoro inne w nim samym mają być zwalczane? Czyż nie mamy słusznej skłonności do brania ludzkiej indywidualności jako całości? Czyż niektórzy, przekonani przez I.M.B. że Lenin jest tak wielkim i wzorowym geniuszem, nie będą skłonni do przyjęcia również jego nienawiści do Boga i za tym całej fałszywej idei, albo co najmniej do stania się owymi załamanymi wewnętrznie i zagubionymi, oportunistami? Wreszcie, czy nie lepiej byłoby po prostu uczynić patronem wojującego tomizmu samego św. Tomasza z Akwinu, albo inną wielką postać jakich nie brak światu chrześcijańskiemu? Byłoby to mniej oryginalne i frapujące, ale za to słuszne zdrowe a nie chorobliwe.

Druga przyczyna, która każe odrzucić myśl I.M.B., leży w innej dziedzinie. Chrześcijaństwo nie może przyjąć metod walki, używanych przez Lenina, nawet aby zwalczać jego dzieło, a do przyjęcia tych metod sprowadzałaby się w praktyce idea obrania Lenina jako wzoru według omawianej recepty. Metody walki są związane najściślej z celami i całym duchem, który tę walkę ożywia. Były już zresztą czynione próby tego typu i skończyły się klęską. Nasz świat musi wyprowadzać metody bojowania ze swego własnego ducha.

Wreszcie trzecia i najważniejsza. Lenin zaimponował Ojcu I.M. Bocheńskiemu najbardziej tym, że „potrafił czyn swój oprzeć na myśli". Otóż naprawdę oparł go przede wszystkim na „żywiołowej nienawiści do Boga", czy też na braku wiary i przez to na całym zespole niższych, nienawistnych uczuć duszy ludzkiej, z którymi myśl jego pozostaje w najściślejszym związku Albowiem myśl — czego zdaje się niedoceniać I.M.B. — nie jest jedynym i w odosobnieniu rozwijającym się czynnikiem duszy ludzkiej i nie jest jedynym oparciem działania ludzkiego, ani jedynym warunkiem rozwoju, klęski czy zwycięstwa wielkich ruchów historycznych.

Nie trzeba, oczywiście wyjaśniać O.Bocheńskiemu — bo wie to lepiej ode mnie — ani czytelnikom „Życia", które są te inne czynniki.

Zdzisław Stahl

***) Na ten temat: W. Kania, Bolszewizm i religia, Rzym 1944, i następnie wiele innych wydań.**

TOMASZ DOBROWOLSKI

TOMIZM MUSI IŚĆ W MASY

Szanowny Panie Redaktorze!

CZY istotnie droga naszkicowana przez Ojca Bocheńskiego w jego artykule „Lenin, czyli o znaczeniu tomizmu" — jest **„niepotrzebnie** daleka i karkołomna", jak to uważa prof. Żółtowski? Jeśli tak jest, to szkoda, że prof. Żółtowski nie podzielił się nami swoją bliższą i bezpieczniejszą.

Tylko, że droga prof. Żółtowskiego nie wydaje się wieść w tym samym kierunku, na który wskazuje O.Bocheński, t.j. do dokonania przebudowy istniejących systemów społecznych. Przebudowy — jak pisze O. Bocheński, radykalnej, rewolucyjnej, w imię jasnej, głęboko przemyślanej, konsekwentnej filozofii.

Nie wiem, czy prof. Żółtowski dostrzega kanieczność takiej przebudowy. W jego liście to zagadnienie jest pominięte kompletnym milczenem. Zalecane przez prof. Żółtowskiego przeczytanie „De Civitate Dei" św. Augustyna ,czy też Cieszkowskiego „Ojcze nasz" — wydaje mi się o ile niewątpliwie nie „karkołomną", o tyle również niewątpliwie, nie najkrótszą drogą do przebudowy radykalnej i rewolucyjnej.

Prof. Żółtowski pisze, że w bolszewiźmie nie to jest groźne, iż wojuje on naciąganym, wykrętnym i przestarzałym materializmem, natomiast jest on groźny „wyzwaniem rzuconym wszystkiemu, co dotąd było człowiekowi święte i bezwzględną przemocą, która to wyzwanie popiera". Takie postawienie kwestii nie wskazuje nam jednak źródła tej siły, która sprawia, że bolszewizm stał się tak bliską i konkretną groźbą dla ludzkości. Czy nie przyczyniłoby się do lepszego zrozumienia groźby bolszewizmu, jeśli byśmy przyjęli, iż siła jej polega nie tylko na tym, że bolszewizm jest wyzwaniem rzuconym wszystkiemu, co dotąd było człowiekowi święte, ale że jest on równocześnie wyzwaniem rzuconym naszej własnej słabości, kompromisowości i niekonsekwencji.

A jeśli zgodzimy się na to, że powstanie i rozrost bolszewizmu zostały umożliwione przez nasze własne błędy, jeśli zastanowimy się nad faktem, że dwadzieścia wieków cywilizacji chrześcjańskiej nie dało nam dotąd ani jednego państwa, opartego na jasnym, zdecydowanym światopoglądzie chrześcijańskim — to może dojdziemy do wniosku, że bolszewizm nie jest sam chorobą, zagrażającą śmiertelnie ludzkości, a tylko jednym z tej choroby objawów.

I że źródło choroby tkwi głęboko w nas samych.

Prof. Żółtowski zarzuca O. Bocheńskiemu „jakąś rażącą pokorę czy fatalistyczną uległość" w obliczu tego potwornego zjawiska, jakim jest bolszewizm. Takie postawienie kwestii jest sprzeczne z rzeczywistością i polega na zupełnym niezrozumieniu ducha artykułu O. Bocheński uważa, że **siłę bolszewizmu** czy też lenizmu **stanowi jego oparcie się na konsekwentnej i bezkompromisowej, chociaż błędnej filozofii.** Jeśli prof. Żółtowski z tym stanowiskiem się nie zgadza, to sam nie wyjaśnia jednak z czego bolszewizm tę siłę czerpie. Wzamian wysuwa ogólnikowy i niczym nie poparty zarzut „jakiejś pokory i fatalistycznej uległości".

Zrozumienie źródła siły przeciwnika, zdanie sobie sprawy z jego pozytywnych osiągnięć może być stanowiskiem niepopularnym. Nie tylko jednak nie jest wyrazem słabości czy uległości, ale stanowi zasadniczy punkt wyjścia do planu przeciw-uderzenia.

Tym bardziej w tym konkretnym wypadku, gdy bolszewizm, będąc wprawdzie obecnie najbliższą i najkonkretniejszą groźbą dla ludzkości, jest jednak tylko jednym z przejawów tego zła, które polega na tym, że idei Chrystusowej, poznanej 2 000 lat temu, nie potrafiliśmy przetłumaczyć na język codziennego użytku, nie umieliśmy oprzeć na niej naszego życa społecznego — nie próbowaliśmy, jako zbiorowość wybudować w oparciu o nią pełnego i konsekwentnego poglądu na świat.

I tu leży głębsze i poważniejsze niebezpieczeństwo, niż bolszewizm.

Nie przesądzam kwestii, czy zwycięstwo nad bolszewizmem nie może być osiągnięte samą siłą fizyczną.

Ale to będzie zduszenie jedynie jednego objawu choroby, nie choroby samej.

I tu wracamy do zagadnienia tomizmu, jedynego, pełnego i kompletnego systemu filozoficznego, który za punkt wyjścia bierze Jedyną prawdę.

Tylko, że nie wystarczy poznanie tomizmu przez nieliczną grupkę intelektualistów, nie wystarczy nawet przejęcie się jego duchem przez przywódców, działaczy społecznych politycznych. **Tomizm musi iść w masy, musi stać się systemem myślenia mas.**

Gdy raz wyjdziemy z założenia że niemożliwe jest dokonanie pełnej i konsekwentnej przebudowy społecznej bez jasnej i konkretnej filozofii, to nie możemy pominąć faktu, że ta przebudowa jest niemożliwa również bez udziału świadomych i aktywnych społeczeństw.

Z filozofią, a z tomizmem w szczególności, musimy iść w masy.

A jak to robić w praktyce, jak realizować upowszechnienie filozofii, tego na dobrą sprawę możemy się uczyć u bolszewików.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Tomasz Dobrowolski

* * *

MÓJ artykulik wywołał — niespodziewanie — pewne zainteresowanie Czytelników ŻYCIA i nadejdą, być może, jeszcze inne wypowiedzi na ten sam temat. Sądzę więc, że celowym będzie odpowiedzieć razem na końcu — to jest, o ile potrafię: — bo jestem człowiekiem nieśmiałym i łatwo mnie zahukać.

I. M. BOCHEŃSKI O.P.

W. A. ZBYSZEWSKI

SKARBY WIEDEŃSKIE

WIEDEŃSKA galeria obrazów jest, jak i madryckie Prado, rodzinną kolekcją Habsburgów. Największa dynastia europejska obok innych zasług doceniała, w przeciwstawieństwie do przyziemnych angielskch Hanowerów, wielkość i piękno sztuki i w ciągu 5 wieków zebrała prawie tyleż skarbów co papieże. Obecnie, obawiając się nie bez kozery bolszewików (którzy np. w Dreźnie już skradli Madonnę Sykstyńską Rafaela), rząd wiedeński co najcenniejsze kejnoty swych muzeów wysłał na Zachód, pod pozorami objazdowych wystaw, tak by nie wpadły w chciwe moskiewskie łapy. Oglądałem tę kolekcję w Wiedniu przed laty, w Paryżu przed rokiem, teraz po raz trzeci w Londynie (w Tate Gallery) i gdybym mógł nie wahałbym się zachodzić tam codzień, by się nacieszyć i nasycić dziełami sztuki słusznie słynnymi na świat cały.

Omówienie skarbów niemalarskich — wspaniałych arrasów, iluminowanych manuskryptów, kryształów, bronzów, kap kościelnych i t d. — wymagałoby oddzielnego artykułu. Są one lekcją poglądową nie tylko estetyki, ale i historii. Obrazują uniwersalny charakter monarchii habsburskiej i jej silne związki z Francją (poprzez Burgundię), z Niderlandami (to samo dziedzictwo), wreszcie z Włochami. Wśród tych arcydzieł prawie nie ma okazów sztuki snycerskiej niemieckiej, złotników norymberskich, majstrów wiedeńskich. Skarby wiedeńskie są wzorem kolekcji paneuropejskiej, w której Niemcy są tylko we właściwej proporcji, to znaczy skromnie reprezentowani.

Ważniejsze jest malarstwo. Z wielu tysięcy obrazów przechowanych pieczołowicie w Burgu, w wiedeńskim Belwederze, a wreszcie w brzydkich czerwonych gmachach muzealnych (tak podobnych do Victoria and Albert Muzeum) na Ringach przybyło tylko około 200 płócien (nawet w Paryżu było ich więcej, bo 250), ale za to bez wyjątku arcydzieł. Reprezentowane są w niej



Velasquez *Infantka Małgorzata Teresa*

głównie dwa wieki wielkości i potęgi Habsburgów — renesans XVI i barok XVII — z pominięciem wczesnego Quatrocento, kiedy to Habsburgowie byli ubogimi Raubritterami wobec Medyceuszów i XVIII wieku, kiedy już chylili się do upadku. Podobnież zakres szkół zbiega się prawie z obszarami, na których Habsburgowie rozszerzyli swe trony: Anglia nie jest reprezentowana wcale, Francja mało — fundament stanowią Włochy z Wenecją na czele, Niderlandy, Hiszpania. Ale te właśnie szkoły dotychczas stanowią trzon całego klasycznego malarstwa.

Obrazy te były przeznaczone do ozdoby ścian cesarskich komnat — stąd monumentalność jako cecha naczelna całej galerii. Mało tu płócien małych, o charakterze jakby intymnym — dominują wielkie, już zdaleka przykuwające uwagę. Od pierwszej chwili odnosimy wrażenie pompy, przepychu, wydaje się, że wchodzimy na salę balową. Z tego punktu widzenia paryski Petit Palais był lepiej dostosowany do tej wystawy: tutaj np. obrazy wczesnoflamandzkie i niemieckie giną prawie w malutkej i dość ciemnej salce. A są wśród nich rzeczy przepiękne: rozkoszny „Adam i Ewa" Van Goes'a który błyszczy zielenią jak emalia, dwa obrazy Rogiera Van Der Weyden, niezrównanie delikatnego, wreszcie Ukrzyżowanie Cranacha, nieprawdopodobne, wręcz ohydne w swej brutalności, ale jednak wstrząsające. Ale tylko znawcy zatrzymują się tam dłużej: zwyki laicy powinni przede wszystkim oglądać to, co stanowi chlubę tej kolekcji, t.j. Madonnę Lorenza Lotto, cztery Rembrandty, pięć Velasquezów i wreszcie Tycjany.

Madonnę Lorenza Lotto uważam za najpiękniejszy obraz wiedeński i jeden z najcudowniejszych całego świata. To nie jest Madonna florencka, stylizowana, nieziemska, omal mistyczna: nie, to przepiękna postać ziemska, młoda i prześliczna Matka, ale piękniejszych rysów nikt nie stworzył, a gra kolorów — tak nieprawdopodobnie bogatych — niebie-

skiej, szaty Matki Boskiej, zielonej św. Katarzyny, czerwonej świętego, liliowej anioła i zielonych gajów w głębi obrazu — jest symfonią tak doskonałą, że nie pamiętam obrazu, który by temu dorównywał. A przytem idealna kompozycja: anioł pochylony nad Madonną, klęczący święci tworzący bajeczną równowagę, wreszcie Dzieciątko, centralny motyw obrazu.

W tym obrazie jest radość, poezja, spokój i piękno. Stanowi on szczytowy okres renesansu — jeszcze w nim znajdziemy dziecinną prawie wiarę malarzy XV wieku, jeszcze się uchronił od wyraźnie pogańskiego natchnienia późniejszego Odrodzenia, które np. dla mnie czyni obrazy religijne Weroneza tak bezdusznymi; nie ma w nich też śladu tego przeładowania barokowego, które tak psuje późniejsze płótna religijne (a z resztą również i mitologiczne) Rubensa i jego uczniów czy rywali. Madonna Lorenza Lotto ma jeszcze przestrzenność i prostotę wielkiej epoki, ma wyrafinowanie wielkiej kultury bez jednak późniejszego manieryzmu bardziej zepsutego i cynicznego pokolenia.

Następna uczta duchowa — to oglądanie Velasquezów. Tylko te w Prado mogą z nimi rywalizować· ani Louvre ani National Gallery nie mają nic z tej klasy. W tych pięciu portretach infantek i infanta zakląłł wielki mistrz jakby całą tragedię dynastii, która od 40 lat po jego śmierci miała wymrzeć na nieszczęsnym degeneracie, Karolu II. Są to z pewnością najrozkoszniejsze portrety dziecinne świata i pozostanie tajemnicą jak Velasquez potrafił jednocześnie oddać i surowy formalizm strojów i etykiety dworskiej, i świeżość, ufność dziecinnych twarzyczek. Czytelnicy znajdą (str.3) zdjęcie portretu infantki Małgorzaty, późniejszej cesarzowej austriackiej, żony Leopolda, tego, któremu Sobieski przybył na odsiecz pod Wiedniem, ale już wówczas Małgorzata nie żyła, zmarła bezdzietnie w wieku lat 25. Czy nad tą buzią śliczną i niewinną nie unosi się jakby fatum, przeczucie śmierci za młodu, rozczarowań i zawodów?

Z kolei Rembrandty: trzy autoportrety i portret syna, Tytusa, czytającego. Nie znam piękniejszych. Ani autoportret w Luwrze, ani tamtejszy św. Mateusz nie dorównują tym arcydziełom, wymalowanym w ostatnich latach życia wielkiego artysty, gdy był już bankrutem, a gorycz zatruwała mu starość. Znowuż trudno wybrać z tej czwórki najlepszy, ale osobiście skłaniałbym się do popiersia; te oczy są niezapomniane — jaki przebija w nich strach przed śmiercią, przed obłędem, przed nędzą. Ile bólu i tragedii w tych starczych ustach! Tylko Rembrandt i Leonardo byli malarzami duszy, nie form cielesnych — i słusznie umieszczamy obu na szczycie hierarchii malarskiej.

Tycjan, taki majestatyczny, żywotny, bogaty, nadawał się wyjątkowo na malarza Habsburgów. Poza Wenecją i Prado nigdzie nie ma tak pięknych Tycjanów jak właśnie w Wiedniu. Począwszy od jego bardzo wczesnej „Madonny z czereśniami", tak surowej, tak wyraźnie skopiowanej prawie z Belliniego, aż do „Nimfy i pastuszka", którą namalował już jako prawie ślepy stuletni starzec, kolekcja wiedeńska daje nam niemal całą skalę jego olbrzymiego i jakże różnorodnego talentu. Przepych materii, koloryt, chiaroscuro portretów, klasycyzm, pogańska zmysłowość i rzeźbiarskie piękno jego kompozycyj mitologicznych, wreszcie jakby impresjonizm jego ostatnich obrazów — Tycjan jakby próbował wszystkich rodzajów w każdym celując. Możnaby go może nazwać prymusem malarstwa. Może to nie geniusz — jedyny w swoim rodzaju jak Rembrandt czy Da Vinci — ale to fantastyczny talent, to bajeczny pędzel, to fenomenalny artysta, to mistrz nad mistrze. Może z jego wiedeńskich portretów najlepszy jest portret papieża Pawła III Farnese, mało pochlebny, bo śladu w nim nie ma tego uduchowienia i dobroci, których w podobiznie Ojca św. należałoby się spodziewać: — to książę Renesansu, w którego wyrazie twarzy dominują chytrość, przewrotność.

Przy Tycjanie blednie Tintoretto, choć ten wielki manierzysta jest dzisiaj niesłychanie popularny, bardziej chyba wychwalany niż jego starszy rywal. Portrety Tintoretta jednak nie dociągają do tych, które pozostawił Tycjan. Jego „Zuzanna między starcami" ma ciekawy modernistyczny prawie rysunek, ale to nie jest obraz, za którym był przepadł. Dwa Correggia są jakby wyblakłe i w ogóle ten mistrz całkowicie pogański, tak wyraźny prawzór dla dekoracyjnej szkoły 18-go wieku, mało mi odpowiada. Z mniejszych malarzy włoskich, niemal wyłącznie weneckich bardzo ciekawym jest Bassano, zwłaszcza jego hołd Trzech Króli. Gdy go oglądamy, zdajemy sobie sprawę ile od niego (a również Tintoretta) zapożyczył El Greco; mistrz toledański był mniej oryginalny niż się to ogólnie przyjmuje.

Galeria wiedeńska jest również bogata w malarstwo włoskie XVII w., które się w muzeach nie-włoskich rzadko spotyka; nie często mamy okazję oglądania Carravaggia, Carraccioli itd. Może z tej całej szkoły najbardziej mi się spodobał „Pielgrzmi w Emaus „nieznanego neapolitańskiego malarza: jest już wyraźnie barokowy, ale koloryt jest ciepły, lepszy od Poussin'a a może nawet Rubensa.

Rubensy wiedeńskie są gorsze od tych, które normalnie się ogląda w wielkich muzeach, z wyjątkim może jego autoportretu. Są na ogół nieznośnie przeładowane, męczące dla oka. Van Dyk, obficie reprezentowany, jest piekielnie nudny — jak zawsze. Jest jeden Vermeer — najlepszy jaki widziałem. Takoż świetny pejzaż Ruysdaela; ten malarz holenderski i Claude Lorrain — to są jedyni pejzażyści klasyczni, których naprawdę podziwiam (pomijając oczywiście tła pejzażowe w kompozycjach malarzy włoskich i, zwłaszcza, flamandzkich); krajobrazy Rubensa np. czy Gainsborougha są nie do zniesienia.

I wreszcie ostatnia uwaga: ilekroć wychodzę z wiedeńskiej wystawy wpadam do dwóch sal samej Tate Gallery, gdzie można oglądać francuskich impresjonistów. Wówczas dopiero — mając świeżo w oczach klasyczne malarstwo, jakby wiecznie nadęte i uroczyste — można zrozumieć konieczność rewolucji, której dokonali Francuzi w drugiej połowie XIX w., musiała przyjść reakcja na tę koturnowość, jakby zdjęcie maski, moment intymności. W portrecie, w grupie, wolę tysiąkrotnie szkoły klasyczne, ale pejzażu impresjoniści prześcignęli bezwzględnie starych mistrzów. Nawet obrazeczki prawie nieznanego Boudin'a z Deauville mają o tyle więcej prawdy i świeżości, niż morskie kompozycje Cuyp'a i Van der Welde! A Cèzanne, a Utrillo, a zwłaszcza i przede wszystkim Pisarro, a Manet, a Sisley! I również w szkicu — Toulouse Lautrec, Derain itd. Malarstwo się nie skończyło! Wenerując wielkich mistrzów „d'autrefois" możemy ufać, że ta najwyższa sztuka nie jest tylko skarbem przeszłości.

W. A. Zbyszewski

TYMON TERLECKI

*MELPOMENA NA WYGNANIU**

„Im sroższe ciernie, głogi..."

DOTYCHCZASOWE rozważania zgromadziły dostateczny, jak myślę, materiał dla poparcia kilku twierdzeń. Nie ulega wątpliwości, że teatr jest nam potrzebny, więcej: **konieczny.** Nie ulega wątpliwości, że teatr na emigracji **sam** uzasadnił możliwość i rację swego bytu, dokonał więcej, niż teoretycznie rzecz biorąc, wolno by nań nakładać i należołoby od niego oczekiwać. Nie ulega na koniec wątpliwości, że dokonało się to w sposób samorzutny i bezplańowy, siłą rozmachu i samozaparciem kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi, że ten bieg rzeczy wyczerpuje odruchowy rozpęd, prowadzi na mielizny, grozi wykolejeniem i zaprzepaszczeniem rzeczywistej i cennej wartości społecznej.

Te trzy stwierdzenia nakazują zajęcie stanowiska. Określony w nich stan rzeczy wymaga konkretnego i — szybkiego działania. Można było nie mieć żadnego poglądu gdy rzecz istniała jako możliwość, życzenie lub objetnica, gdy były do załatwienia ważniejsze sprawy, których zresztą także nie złatwiono. Nie można nie mieć żadnego poglądu teraz, gdy rzecz sama narzuciła się jako potrzeba i konieczność.

KTO?

Przeświadczenie, że należy w sprawie teatru na emigracji coś przedsięwziąć, jest dość powszechne, jeśli termin „powszechny" uzna się za niezbyt przesadny i patetyczny na określenie ciągle jeszcze niewielkiej grupy ludzkiej, którą ta sprawa obchodzi.

Oczywiście nie ma powrotu do stanu z 1945 czy 1946 r. Wtedy można było las zasiać, teraz w lesie samosiewnym, dzikim, przerośniętym należy zrobić jaki taki porządek. Wtedy można było wyjść z rozumnego planu, narzucić go rzeczywistości. Teraz trzeba plan przymierzać do rzeczywistości już istniejącej i nie dającej się zmienić do samego gruntu.

Po katastrofie Sceny Polskiej p. Marek Święcicki („Teatr bezdomny", „Dziennik Polski" z 16 grudnia 1947) proponował, aby to zadanie wzięło na siebie Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego, żeby „zajęło się doborem repertuaru, poziomem zespołów teatralnych i ich stroną organizacyjną". Należy wątpić czy Towarzystwo jest do tego powołane, czy jest zdolne dokonać czegoś, czego nie zrobiły: jedno i drugie ministerstwo z niemałym jeszcze aparatem, Zjednoczenie organizacji społecznych w W. Brytanii, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — wtedy, kiedy sprawa była prostsza i łatwiejsza.

Dzisiaj da się ona uchwycić i rozwiązać tylko przez współdziałanie obu stron zainteresowanych: teatru, który patrzebuje społeczeństwa i społeczeństwa, które potrzebuje teatru. Uporządkowanie wytworzonego stanu rzeczy należy do organizacji zawodowej ludzi teatru, pomoc i opieka jest obowiązkiem organizacji spłecznej. Tylko jednoczesne i zgodne współdziałanie tych dwóch sił może usunąć, przynajmniej ograniczyć to co jest złe, podtrzymać to, co dobre.

Poza obrębem tego wysiłku pozostaną jednostki samolubne, aspołeczne, opętane komercjalnym monoideizmem. Jeśli będą przeszkadzały, należy je postawić przed sądem opinii publicznej. Wtedy szkoda przez nie wyrządzana zredukuje się do czegoś, czego nie będzie warto dostrzegać i o czym nie będzie warto mówić.

SAMORZĄD ZAWODOWY

Przed wielu, wielu laty znakomity krytyk teatralny Władysław Bogusławski w książce „Siły i środki naszej sceny" (1879) oskarżał artystów o odpowiedzialność za zło panujące w teatrze warszawskim. Wszystko dobre jest i dziś dziełem, wszystko ułomne winą ludzi teatru. Są wśród nich objawy heroizmu i tępego samolubstwa, szlachetne ambicje i skłoność do chodzenia po drodze najmniejszego oporu. „Od nich zależy w znacznej części, ażeby — według słów Bogusławskiego — to przesilenie zakończyło się pomyślnie i stało się początkiem odrodzenia...

Artyści teatru muszą wykazać instynkt społeczny, bo teatr jest ze swej istoty, z ustroju i przeznaczenia sztuką społeczną. Muszą dać świadectwo zmysłu rzeczywistości, bo teatr, jak bodaj żadna inna sztuka, jest przywiązany do ziemi, jest obciążony serwitutami materialnymi.

Są oni skupieni w organizacji zawodowej, w Związku Artystów Scen Polskich za granicą, podtrzymującym wielkie tradycje syndykatu o tej nazwie w Polsce niepodległej. W obrębie swego związku mogą wykazać zdolność samorządu, umiejętność uzgodnienia partykularnych interesów, podporządkowania ambicji i animozji osobistych interesowi zbiorowemu.

ZASP może i powinien uporządkować sprawę dopływu nowych sił dla potrzeb doraźnych (przez instytucje opiekunów upoważnionych do przygotowania debiutantów) i na dłuższy dystans (przez organizację skromnego studium teatralnego). W jego zakresie leży możliwość czuwania nad minimalnym poziomem artystycznym a nawet sprawa repertuaru. ZASP udziela zespołom stworzonym przez swoich członków t.zw. konwencji to znaczy prawa wykonywania pracy teatralnej. Tym samym ponosi on odpowiedzialność za charakter tej pracy i ma w ręku narzędzie sankcji. Jeśli będzie widział konieczność jej użycia w interesie ogólnym, napewno stanie za nim cała opinia publiczna.

Ostatni walny Zjazd ZASP-u powziął uchwałę, postanawiającą zwołanie konferencji wszystkich kierowników zespołów. Winno się ono odbyć jak najprędzej i dać początek porozumieniu i współdziałaniu, z którego żaden zespół nie wyniesie szkody, a całość sprawy teatru na emigracji wyniesie korzyść. Przecież te rozdrobnione grupy mają sześć czy pięć miniaturowych aparatów administracyjnych, wydają dwa (!) pisma reklamowe, wchodzą sobie w drogę, zieją duchem zażartej konkurencji, która jest niepotrzebna i na sześć, siedem sposobów przymierzają sztuki do swoich kilkuosobowych zespolików, co jest często równoznaczne z wtłaczaniem tych sztuk w prokrustowe łoże, z przykróceniem ich o głowę, nogi i resztę.

Można i trzeba znaleźć sposoby oszczędzania energii, polepszenia organizacj pracy, lepszego użytkowania ludzi, wzajemnej pomocy, a zostawić sporo miejsca na indywidualne wyżycie się takich czy innych ambicji, na twórcze współzawodnictwo, zdrową i celową inicjatywę.

Jeśliby ludzie teatru w istniejącym stanie rzeczy nie wykazali choćby minimalnej dyscypliny zbiorowej należałoby wątpić w siłę nurtu ideowego, który ich zatrzymał na emigracji, w ich poczucie powołania artystycznego, w ich dojrzałość społeczną i po prostu — w ich zdrowy rozsądek.

OPIEKA SPOŁECZEŃSTWA

Ale cały ten wysiłek — a wierzymy, że będzie on w najlepszej woli podjęty — nie da pełnego wyniku bez opieki społecznej. Nawet społeczeństwa tak długo i uparcie wierne zasadom klasycznego liberalizmu, jak angielskie, w czasie ostatniej wojny zrozumiały, że teatr jest instytucją społeczną, że po to aby żyć, musi mieć widzów, opiekunów i przyjaciół. Wyraziło się to w powołaniu przez państwo t. zw. CEMA (The Council for the Encouragement of Music and the Arts). Po wojnie przeistoczyła się ona w instytucję stałą pod nazwą The Arts Council of Great Britain, która opiera się na specjalnej Royal Charter i rozporządza 300 — 400 tysiącami funtów rocznie.

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego powstało w Londynie jesienią ub. r. jest jej odpowiednikiem, nieskończenie skromniejszym, ale o ileż bardziej potrzebnym. Nie otrzymało ono od ośrodków dyspozycji ani grosza — bo pieniędzy już, jeszcze lub wogóle nie ma na taki cel, jak teatr walczący o polskość emigracji politycznej. Zebrane dotąd fundusze są znikome, nie stanowią nawet kropli wobec przysłowiowego morza potrzeb.

Ten stan rzeczy musi ulec zmianie Inaczej społeczeństwo utraciło by prawo stwiania żądań, możność wpływania na istotne sprawy. Do nich należy np. zapewnienie skupiskom mniejszym, niezdolnym opłacić imprez teatralnych dostępu do tego dobra, jakim jest żywe słowo polskie. Jeżeli trzeba dołożyć w takich i innych wypadkach, musi być z czego dołożyć.

Musi się wzmóc ofiarność społeczna. Musi też, co jest nie mniej ważne, skupić się w jednym ręku pomoc udzielana teatrowi przez rozmaite organizacje na własną rękę i według własnego widzimisię. Ostatecznie Towarzystwo Przyjaciół Teatru ma od Fundusz Społecznego Żołnierza a nawet od Obywatelskiego Komitetu Pomocy więcej danych do roztrzygnięcia lub choćby zaopiniowania, komu należy udzielić wsparcia, dla kogo jest pilniejsze, przez kogo przyniesie rzeczywistą korzyść zbiorową.

Jeśliby się pomoc skupiło w jednym rozporządzeniu, można by jej użyć naprawdę celowo: otoczyć opieką teatry artystycznie znaczące i społecznie ważne. Uniknęlibyśmy wtedy tak bolesnego marnotrawstwa, jak pieniądze wyłożone na Scenę Polską w Londynie. Zaprzestalibyśmy fantazyjnej filantropii, zaczęlibyśmy uprawiać rozumną opiekę. Należy się ona „Świadkowi" sztuce żywej, wyrażającej nasz sprzeciw moralny przeciw zbrodni katyńskiej, nie należy się rozmaitym gałgankom, fatałaszkom i śmieciom, zabrudzającym naszą scenę.

ATMOSFERA TEATRALNA

Zdaniem Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego nie jest tylko pomoc materialna, która nigdy nie będzie dość duża, choć może być rozdzielona i użyta w sposób bardziej niż dotąd celowy. Jego zadaniem jest w równej — jeżeli nie większej jeszcze — mierze pomoc moralna, właśnie pomoc przyjaźni, zrozumienia, zainteresowania. Jego zadaniem jest stworzenie atmosfery teatralnej, teatralnego pola magnetycznego.

Towarzystwo podjęło pierwsze próby z tego zakresu w Londynie publiczny sąd nad „Świadkiem". Jak dotąd zaniedbano rzeczy kapitalnej: organizacji „kół terenowych", wiązania grup przyjaciół i opiekunów, tworzenia małych kręgów magnetycznych w owym legendarnym „terenie". A tam są one potrzebne najbardziej — doraźnie, konkretnie, ciągle.

Zdarzą się bowiem nie jeden raz, iż teatr jest oszukiwany przez przedsiębiorczą a nieuczciwą jednostkę. Zdarza się, że organizacje lokalne, zarządy domów społecznych dyktują przyjeżdżającym zespołom warunki zbyt komercjalne i egoistyczne. Zdarza się na koniec, że zespół, który od tygodni jest w nieprzerwanej, cygańskiej wędrówce od jednego miejsca do drugiego — przyjeżdza nie witany i nieżegnany przez nikogo odjeżdża, że brak mu elementarnej pomocy i odrobiny ciepła w nagrodę za ciężki trud.

Ale Towarzystwo Przyjaciół, gdyby liczyło dziesięciokrotnie, stokrotnie więcej członków, niż ich liczy w

Dokończenie na stronie 8

*) Por. poprzednie artykuły: „Lato bez żniw" w nr. 26/105, „Zasiane ziarna w nr. 27/106, „Ruń i perz" w nr. 28/107 ŻYCIA. Niniejszy artykuł stanowi zamknięcie cyklu.

VERITAS ROZPOCZYNA AKCJĘ ODCZYTOWĄ

NOWA INICJATYWA NASZEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO I KOLPORTAŻOWEGO

Poczynając od połowy lipca nasz Ośrodek wydawniczy i kolportażowy rozpoczyna działanie nie tylko słowem drukowanym, lecz także słowem żywym. Dołączamy się w ten sposób do innych instytucji i organizacji polskich, które akcję odczytową od dawna już prowadziły i prowadzą. Nasza akcja odczytowa ma odpowiadać szczególnemu charakterowi naszej działalności wydawniczej, ma ją uzupełniać i ożywiać przez bezpośredni kontakt z czytelnikiem, przez docieranie często tam, gdzie pismo i książka jeszcze nie docierają lub nie są dostatecznie znane.

POLSKIE SŁOWO DRUKOWANE

Jest nas w W. Brytanii około 150 tysięcy osób dorosłych, z tego 85 proc. stanowią mężczyźni. Jak na tę ilość posiadamy aż za wiele czasopism. Przeciętnie liczy się po 4 do 5 osób na jeden egzemplarz czyli e gzemplarz na rodzinę. Do liczby rodzin przybywa jednak liczba mężczyzn samotnych, którzy, jeżeli nabywają pismo, zachowują je tylko dla siebie. Dzięki temu oraz tej okoliczności, że wiele osób stale czyta po parę lub nawet kilka pism, rozchodzi się ich znacznie więcej, niż wypadałoby z liczby ludzi czytających. Ale poza nimi jest jeszcze wiele Polaków, którzy własnych pism nie czytają i do nich właśnie trzeba dotrzeć słowem drukowanym m.in. przez słowo żywe. Ponieważ polskie pisma mają małe nakłady, ceny ich są znacznie wyższe, niż ceny prasy angielskiej. Wszystkie prawie pisma polskie walczą z trudnościami materialnymi.

A jednak czasopisma polskie istnieją i mimo trudności nie giną; zawdzięczamy to naszym przekonanym czytelnikom. Powiedzmy sobie wprost że ci, którzy już zrozumieli konieczność posiadania tutaj polskiego pisma i polskiej książki, umieją je cenić, że chętnie dają ciężko zapracowany grosz na książkę i gazetę. Po paczkach do Polski, to chyba pierwsza pozycja w budżecie wielu może najuboższych wśród nas. Wszystkie administracje polskich pism mogłyby zgodnie stwierdzić, że ci najskromniejsi przyjaciele są zarazem najsumienniejszymi płatnikami, szczerze dzielącymi kłopoty i koleje polskich wydawnictw.

A jest tak dlatego, że polskie słowo drukowane pozostaje dla wielu jedynym łącznikiem między nimi a tym co polskie, co swoje i bliskie. To obok listów z kraju najżywsza więź z Polską, to coś, co pobudza umysł, zagrzewa serce i wypełnia wyobraźnię, co skłania do wytrwania i wysiłku społecznego. Kto miał sposobność czytać listy pełne słów wdzięczności, kierowane do redakcyj, ten w pełni zrozumie, ile szczerego entuzjazmu dla wszelkiej rzetelnej akcji społecznej kryje w sobie po tylu zawodach, rozczarowaniach i rezygnacjach polska dusza.

STYCZNOŚĆ BEZPOŚREDNIA

Ale samo słowo drukowane nie wystarczy, bo ludzie są spragnieni styczności bezpośredniej z ludźmi piszącymi i z tymi, którzy mają im coś do powiedzenia. Chodzi tutaj o **bezpośredni kontakt człowieka z człowiekiem**, Polaka z Polakiem, o wymianę myśli, o posłuchanie, a nie tylko ze sceny, żywego, polskiego słowa. Słowa, którym się wyraża dobre i jasne myśli, myśli krzepiące i pozwalające wierzyć i pracować.

Przychodzi do naszego Ośrodka wiele osób, nie tylko, aby zapłacić prenumeratę, kupić książkę, przynieść materiał do gazety czy zamówić coś w drukarni. Przychodzą też, aby porozmawiać. Dla nich musi się znaleźć czas, który zawsze za mało. Pragną bowiem podzielić się swymi kłopotami i wątpliwościami, które im nasuwa praca w ich środowiskach, chcą nam okazać zrozumienie i wyrazić wdzięczność za wydawanie naszych pism; przychodzą aby znaleźć zachętę do dalszej pracy w jakimś może odległym zakątku, aby się poczuć w gromadzie, w której ludzie różnymi drogami zmierzaja ku tym samym celom.

A my?

My dowiadujemy się od naszych miłych gości bardzo wiele. Poznajemy ich środowisko, warunki życia i pracy, kłopoty, potrzeby i zainteresowania; otwieramy sobie jakby jeszcze jedno okno na świat naszych czytelników. To pozwala nam ulepszać pracę redakcyjną, znajdować coraz więcej punktów stycznych z tymi, do których wydajemy pisma i do których idziemy z dobrą książką.

CHARAKTER PRZEMIAN

W świetle tych rozmów i naszych doświadczeń, zebranych na podstawie różnych okolicznościowych spotkań, możemy dziś stwierdzić, że zachodzące wciąż zmiany w naszym społeczeństwie mają coraz więcej społeczny charakter. Okres urządzania się już jest na ukończeniu, zarówno dla tych, co wyszli z wojska jak i dla tych, którzy tu przybyli jako robotnicy z kontynentu. Gdy spadła z głowy najpilniejsza troska o chleb codzienny, ludzie zaczęli więcej myśleć o sprawach ogólnych, mieć troski bardziej istotne dla nas jako zbiorowości polskiej. Niejeden i niejedna otrząsnęli się już z chwilowej apatii, wywołanej zmianami losu, i zaczynają zastanawiać się nad tym, jaką to my stanowimy zbiorowość i czy dorastamy do celów, które przed nami stoją. Przy dobrym nawet zarobku, przy powodzeniu w osobistych planach rozumieją wszyscy,że tęsknotę za krajem możemy zaspokoić tylko spełnieniem tutaj naszych obowiązków wobec Ojczyzny, że nikt z nas nie może być tutaj w pełni szczęśliwy, gdy nie ma szczęścia w Ojczyźnie.

Nastąpiły też zmiany w samym podejściu do inicjatywy społecznej.

Dziś nie ma już dawniej tak powszechnego oglądania się na jakąś górę czy centralę, inicjatywy wychodzą z dołu, z terenu, który sam się urządza społecznie organizuje własnymi środkami według własnych potrzeb. Jest to zrozumiałe i zdrowe wymaga jednak właściwej koordynacji wysiłków i inicjatyw, aby ich nie rozbijać i sił społecznych nie marnować.

PODSTAWA POROZUMIENIA

Ponad wszystko jednak wybija się wołanie o wspólną podstawę porozumienia wszystkich Polaków na emigracji. Chodzi tu nie o jakiś kompromisowy punkt widzenia, który dałby się narzucić wszystkim, chodzi o coś na czym można by oprzeć harmonijną współpracę wszystkich form praktycznego działania. Ludzie są dziś spragnieni prawdy i na niej tylko pragną oprzeć swoje zapatrywania i swe działania. Zdaje się nam, że tą podstawą porozumienia powinien się stać światopogląd katolicki, oparty o wieczną, zwycięską Prawdę, i zgodny z zasadami katolickimi polski styl życia jednostkowego i zbiorowego. W katolicyźmie bowiem mogą się pomieścić wszyscy, a więc i ci, których różnią poglądy na praktyczne rozwiązanie wielu spraw aktualnych.

SŁUŻYĆ PRAWDZIE!

Dziś, w okresie zaciętej walki z Prawdą najwyższą, gdy coraz bezczelniej i bezceremonialniej panoszy się kłamstwo, uniemożliwiając porozumienie i wysławiając życie, trzeba głosić i przypominać prawdę. Temu zadaniu ma służyć wolna prasa na całym świecie. Szczególnym zaś jest to obowiązkiem prasy katolickiej, bo na tym polega jej apostolskie zadanie. Tworząc nasz Ośrodek wydawniczy i kolportażowy, wydając katolickie tygodniki i szerząc dobre polskie książki, postawiliśmy sobie jako zadanie służenie Prawdzie przez szerzenie katolickiego światopoglądu i umacnianie w nim, przez głoszenie i przypominanie zasad moralności chrześcijańskiej, przez ocenę z punktu widzenia tych zasad przejawów naszego życia polskiego na wychodźstwie, przez tworzenie czujnej opinii katolickiej, przez uczciwą informację.

Dla nas katolików polskich dobra moralnie i z talentem napisana książka oraz żywo i umiejętnie redagowana katolicka gazeta są gwarantkami naszej jedności moralnej, bez której nie będzie naprawdę harmonijnego i zgodnego współdziałania na żadnym polu.

O CO NAM CHODZI?

Aby naszą pracę udoskonalić, aby działanie słowem drukowanym poszerzyć i ożywić, aby wielu ludziom którzy w naszych tygodnikach piszą ułatwić bezpośrednią styczność z czytelnikami, którzy nas o nią często proszą, postanowiliśmy rozpocząć nasza akcja wydawnicza, będziemy oparta na tych samych zasadach, co nasza akcja wydawnicza, będziemy się w niej starali o dobór tematów aktualnych, a szczególnie związanych z naszym odcinkiem pracy.

Pragniemy nasz zasiąg poszerzyć, dotrzeć z naszymi pismami i odczytami do tych, do których często nikt dotychczas nie dotarł i którzy się na to skarżą. Na terenie tej Wyspy jest około 600 skupisk i hosteli, w których są Polacy. Jeżeli się czują zapomniani i opuszczeni, jest tak i dlatego, że nie zawsze się o nich wie. Naszej akcji muszą więc środowiska polskie wyjść naprzeciw

NASZA AKCJA

Akcję naszą zaczynamy narazie w skromnych ramach. Szereg osób dobrej woli, przeważnie współpracujących z naszym Ośrodkiem, zgłosiło gotowość wyjeżdżania co jakiś czas do skupisk polskich z odczytami na zgłoszone przez siebie tematy. Odczyty będą dyskusyjne i każdy obecny będzie mógł zabierać głos w dyskusji, prosić o wyjaśnienia itd. Po każdym wykładzie można urządzić zebranie towarzyskie, na którym prelegent będzie miał sposobność porozmawiania ze wszystkimi obecnymi, którzy pragną poruszyć sprawy nieobjęte tematem odczytu.

Kilka środowisk już dawniej zgłosiło swe prośby o przyjazdy do nich z odczytami, niektóre już zostały odwiedzone a w szeregu innych wykłady takie odbędą się w najbliższym czasie. W niektórych miejscowościach przy okazji pobytu naszego prelegenta urządzono dzień prasy i książki katolickiej. O tych wszystkich imprezach będziemy podawali wzmianki, dzieląc się spostrzeżeniami i doświadczeniami z naszymi Czytelnikami.

Osobno podajemy pierwszą listę prelegentów i wykaz tematów przez nich zgłoszonych, oraz pare szczegółów organizacyjnych. Poddając naszą inicjatywę pod rozwagę działaczom społecznym i przodownikom we wszystkich polskich skupiskach, prosimy o uwagi i opinie, które pozwolą nam naszą akcję jak najlepiej zorganizować i w pełni wykorzystać dobrą wolę i umiejętności naszych prelegentów.

PRELEGENCI - TEMATY - ORGANIZACJA

UDZIAŁ w podejmowanej przez nas akcji odczytowej dotychczas zgłosili:

Jan Bielatowicz, Janusz Czaharski, Wojciech Dłużewski, Stanisław Grocholski, Władysław Jelonek, Józef Kisielewski, Anatol Krakowiecki, Jan Nowacki, Michał Pawlikowski, Jan Szułdrzyński, Jan Tokarski, Władysław Zych.

Wśród zgłoszonych tematów zanotowaliśmy następujące:

Współczesne prądy umysłowe — Walka o duszę polską na emigracji — Aktualność katolicyzmu — Polska twórczość literacka na emigracji — Obecna literatura w Polsce — Zagadnienie polskich Ziem Zachodnich — Znaczenie i rola prasy — Człowiek nowoczesny — Nasze zadania na emigracji — Pius XII a Polska — Wpływ prasy na opinię publiczną — Położenie i zadania społeczności polskiej w W. Brytanii — Rola prasy i książki katolickiej.

W następnych numerach naszych tygodników podamy dalsze nazwiska prelegentów i zgłoszone tematy. Obecnie pragniemy dodać parę wskazówek organizacyjnych:

Każdy ośrodek czy też grupa polska, która pragnie, by do niej przyjechał ktoś z wykładem, zechce napisać do VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE (12, Praed Mews, London W.2.) conajmniej 3 — 4 tygodnie przed terminem wykładu, podając jaki temat sobie wybiera, czy też prosi imiennie o któregoś z prelegentów. W zaproszeniu należy zaznaczyć: gdzie i kiedy wykład miałby się odbyć (w dzień powszedni czy też w sobotę lub niedzielę), o której godzinie, w jakiej sali i jaką ilość obecnych organizatorzy przewidują. Bardzo wskazane jest również podanie najlepszego połączenia kolejowego lub autobusowego z Londynu (dworzec, czasy odjazdów, cena biletu itp.) oraz pod jakim adresem i do kogo prelegent ma się zgłosić po przybyciu na miejsce.

Zapraszający ponoszą koszty przejazdu, wyżywienia i ewentualnego noclegu prelegenta oraz składają na nasz fundusz wydawniczy jednego funta. Koszty te można w całości lub częściowo pokryć z dobrowolnych datków, składanych przez słuchaczy po wykładzie. Jeżeli leżące blisko siebie środowiska wczas porozumieją się ze sobą, mogą sprowadzić prelegenta na wspólny koszt, z tym, że wygłosi on swe odczyty w obu środowiskach. Nie należy zapominać, że ilość słuchaczy będzie w wielkiej mierze zależała od tego, czy wykład będzie na czas ogłoszony i czy poprzedzi go umiejętna propaganda.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

MIĘDZYNARODOWE BIURO FILMU KATOLICKIEGO

W dniach od 16 do 21 lipca odbywają się w Londynie w biurach Newman International Centre (3, Portman Sq., W 1) obrady Rady Głównej Międzynarodowego Biura Filmu Katolickiego — International Catholic Film Office. Głównym tematem obrad jest zagadnienie kuturalnego i ekonomicznego stosunku do przemysłu filmowego. Innym tematem dyskusji będzie Filmowe Apostolstwo Modlitwy.

W dniu 17 b.m. dla delegatów zostanie odprawiona Msza św. w kościele św. Jakuba (Spanish Place) o godz. 10.30. Delegaci obejrzą na specjalnych seansach: francuski film „Le sorcier du ciel", 15.7. w Instytucie Francuskim, (Qeensberry Place, SW 7); 18.7. w Hammer Theatre „Joannę d'Arc"; 19.7. w Tatler Theatre „Crucifers to Walsingham" oraz niemiecki film „Ad Dei honorem"; 20.7. —„Scott of the Antarctic".

NAJLEPSZE KSIĄŻKI BRYTYJSKIE

„Unesco" postanowiło skompletować listę stu najlepszych książek świata, zarówno z dziedziny literatury pięknej, jak filozofii, nauk humanistycznych i nauk ścisłych; lista ma następnie służyć jako podstawa do dokonywania przekładów. Państwa, reprezentowane w „Unesco", mają przedłożyć swe listy narodowe, z których następnie „Unesco" dokona wyboru. Lista brytyjska została już ogłoszona przez Ministerstwo Wychowania; przygotował ją Komitet, w którego skład wchodzili prof. C.M. Bowra, prof. B. Willey, John Hampden, V. S. Pritchett i dr. John Cawern. Lista obejmuje dzieła 23 pisarzy — po koniec XIX stulecia.

Znajdują się na niej: Chaucera „Canterbury Tales", Malory'ego „Morte d' Arthur", wszystkie dzieła Szekspira, dzieła poetyckie Miltona, essaye Bacona (wydanie z r. 1625), Bunyana „The Pilgrim's Progress" (1678), Pope'a „Essay on Man", Swifta „Gulliver's Travels", Defoe'a „Robinson Crusoe", Boswella „The Life of Samuel Johnson", Gibbona „Decline and Fall of the Roman Empire", poezje wybrane Roberta Burnsa, Blake'a „Song of Innocence and Experience" (1794), wszystkie utwory Keatsa, Jane Austen „Pride and Prejudice", poezje wybrane Shelleya, Walter Scotta „The Heart of Midlothian", Emily Brontë „Wuthering Heights", Wordswortha „The Prelude" i poezje wybrane, Dickensa „David Copperfield", Darwina „The Origin of Species", Johna Stuarta Milla „On Liberty", oraz George Eliot „Middlemarch".

Uderza brak na liście Byrona, który wogóle zawsze bardziej ceniony był na kontynencie Europy niż w Anglii.

Osobne listy obejmują utwory w języku walijskim (w tym stare legendy i pieśni ludowe), oraz w języku „gaelic", używanym w szkockich Highlandach.

Komitet brytyjski, dokonywujący wyboru, ma przygotować listę książek angielskich, wydanych po r. 1900, do rozważenia przez ten wydział „Unecso", który zajmuje się dziełami współczesnymi.

FESTIVAL WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI BRYTYJSKIEJ

W Cheltenham skończył się właśnie piąty doroczny festival współczesnej muzyki brytyjskiej. Obejmował on zarówno dzieła wybitnych kompozytorów zagranicznych, wykonane przez Brytyjczyków, jak utwory kompozytorów brytyjskich. Zdaniem Ch. Stuarta, krytyka muzycznego „Observera", festival wykazał, iż rok ubiegły nie był szczególnie płodny, jeśli chodzi o kompozytorów brytyjskich. Za najwybitniejszą nowość Stuart uważa smfonię nr. 4 młodego 30-letniego kompozytora Richarda Arnella.

SZEKSPIR POD GOŁYM NIEBEM

W Regent's Parku w Londynie odbywa się obecnie codziennie (z wyjątkiem niedziel) przedstawienie dwóch utworów scenicznych Szekspira: „Komedii pomyłek" oraz „Dwóch panów z Werony" w reżyserii — jak i lat poprzednich — Roberta Atkinsa. Początek przedstawień o 7.30 wiecz.; w środy, czwartki i soboty o 2.30. W razie deszczu przedstawienia odbywają się w pawilonie krytym.

NOWA KSIĄŻKA KOESTLERA

Arthur Koestler, autor pierwszej powieści o procesach typu sowieckiego („Darkness at Noon"), ogłosił nową książkę p.t. „Insight and Outlook" (Londyn, Macmillan, cena 25 s.). Jest to zbiór essayów filozoficzno-naukowych, poświęconych szczególnie źródłom życia psychicznego człowieka. Zdaniem Koestlera wszystkie istoty organiczne posiadają dwie podstawowe cechy: dążności do samoutwierdzenia się (self-asserting tendencies) i dążności do wyjścia poza własne ramy (self-transcending tendencies). W człowieku pierwsze z tych tendencji obejmują agresywność, rywalizację, zazdrość itd., do drugich należy miłość i troska o innych, kontemplacja mistyczna, twórczość estetyczna i naukowa, dyscyplina społeczna itd. Siedliskiem „self-assertive tendencies" ma być część „sympatyczna" centralnego układu nerwowego; siedliskiem „self-transcending tendencies" prawdopodobnie nerwy parasympatyczne.

Niektórzy krytycy uważają za najlepsze te części książki, które zajmują się fizjologią i biologią istot ludzkich. W tym zakesie Koestler wspiera się na najnowszych wynikach badań naukowych.

SZTUKA PRZEDNORMAŃSKA W ANGLII

T. D. Koendrick, kustorz działu starożytności brytyjskich i średniowiecznych w British Museum, wydał dużą ilustrowaną książkę o późnej sztuce anglo-saksońskiej i sztuce wikingów w Anglii („Late Saxon and Viking Art", Londyn, Methuen, cena 32 s. 6 d.). Kendrick przeciwstawia się poglądom, jakoby poziom sztuki u Anglosasów w okresie, poprzedzającym najazd normański, był niski. Najbardziej wartościowym zabytkiem z tego okresu jest pięknie iluminowany rękopis winchesterski (Winchester Illumination) z X weku. Zdaniem autora jest to pierwsza rzecz naprawdę angielska (choć inspiracje kontynentalne są w niej widoczne) w sztuce angielskiej.

Najeźdźcy duńscy (ok. r. 1 000 po Chr.) wprowadzili do Anglii sztukę wikingów; najwspanialszym jej okazem jest kamień grobowy, znaleziony koło katedry św. Pawła w Londynie i wystawiony zwykle w Guidhall Museum. Kendrick zajmuje się również ciekawymi rzeźbami w kamieniu, jake znaleźć można w różnych częściach kraju.

AUTOBIOGRAFIA O. SITWELLA

P. t. „Laughter in the Next Room" (Macmillan, 18 s.) ukazał się ostatni tom w cyklu autobiograficznym sir Osberta Sitwella, opisujący okres między dwiema wojnami światowymi.

ZOFIA HOŁUB-PACEWICZOWA

MIĘDZYNARODOWY KONGRES GEOGRAFICZNY W LIZBONIE

Podajemy sprawozdanie wybitnej uczonej polskiej, jedynej na kongresie geograficznym obecnej reprezentantki nauki polskiej. Dr Zofia Hołub-Pacewiczowa, specjalistka badań antropogeograficznych była do czasu zajęcia Francji przez Niemców asystentką prof. E. de Mortonne na Sorbonie, a obecnie wykłada w Polish University College w Londynie. Dzięki niej emigracja polityczna mogła zastąpić gnębioną w Kraju naukę, tak wybitnie zawsze mającą miejsce na terenie międzynarodowym.

* *

W pierwszych dniach maja zakończył się wycieczką na Maderę Międzynarodowy Kongres Geograficzny w Lizbonie, zorganizowany przez Międzynarodową Unię Geograficzną, po przeszło 10-letniej przerwie spowodowanej przez wojnę. Unia ta, w skład której wchodzi szereg krajów świata, ma już za sobą poważną tradycję. Był to 16-ty z kolei światowy kongres geografów i choć może — z powodu powojennych warunków — nie dorównywał świetnością obu poprzednim (w Amsterdamie w 1938 r., w Warszawie w 1934), poziom jego był wysoki i rezultaty powinny być owocne.

Pomimo rozlicznych trudności, z jakimi zjazdy naukowe po wojnie muszą walczyć i mimo przedegzaminacyjnej pory roku, kongres zgromadził kilkuset uczestników z 34 (na 57 zaproszonych) krajów świata. Najliczniejsi byli kongresiści europejscy, zwłaszcza: z Portugalii ok. 140, z Francji ok. 100, ze Szwajcarii 46, z Wielkiej Brytanii i Włoch po 40, z Belgii 30, z Hiszpanii 24. Ale i udział krajów poza europejskich był znaczny, przede wszystkim Brazylii — ponad 70 osób, i Stanów Zjednoczonych A.P.— ok. 50 osób i instytucyj geograficznych. Do Międzynarodowej Unii Geograficznej przystąpiły obecnie Chiny, Indie, Turcja i Węgry, a do komitetu wykonawczego Unii weszły na nowo: Portugalia, Brazylia, Szwajcaria, Indie i Kanada obok innych krajów. Prezesem Unii wybrano prof. J. B. Cressey z U.S.A. w miejsce wieloletniego prezesa prof. E. de Martonne z Sorbony, znanego jako jednego z największych geografów świata, któremu przyznano dożywotnią prezesurę honorową. Na sekretarza Unii wybrano prof. G. H. Kimble z Kanady. Wynik ten jest wyrazem zacieśnienia się stosunków naukowych krajów europejskich i poza europejskich. Znamiennym jest, że po raz pierwszy kierownictwo M. U. G. przeszło w ręce Amerykanów. Postanowiono też przyszły kongres, w 1952, urządzić w U.S.A.

Z za żelaznej kurtyny nie przybył nikt, mimo kilku zgłoszeń z Polski i Czechosłowacji. Z trzech geografów zgłoszonych z Polski nie przybył nawet światowej sławy Nestor geografów polskich, profesor Eugeniusz Romer, dotychczasowy wiceprezes Unii, oczekiwany do ostatniej chwili. Z Polaków byłam tylko ja. Wygłosiłam dwa referaty, w sekcji antropogeograficznej i pedagogicznej, jeden ilustrowany opracowaną przezemnie mapą Wysp Brytyjskich. Brałem udział w sformułowaniu rezolucyj sekcji pedagogicznej, oraz w dyskusjach i w terenie podczas wycieczek naukowych. Moje referaty zaszczycił swą obecnością Minister G. Potworowski, przed wojną ambasador R.P. w Lizbonie. Z racji udziału polskiego naukowca w Kongresie, państwo Potworowscy wydali przyjęcie na którym były też osoby ze świata dyplomatycznego Lizbony i liczna miejscowa Polonia.

Komitet organizacyjny, zwłaszcza w osobie niezwykle czynnego sekretarza, prof. O. Ribeiry, czołowego geografa portugalskiego, dołożył wszelkich starań by urozmaicić program kongresu. Obok rozlicznych imprez należy wspomnieć o wystawie kartograficznej, w której wzięło udział kilka krajów, a wyróżniły się prace kartograficzne U.S.A. Na uwagę zasługują nowe atlasy niektórych krajów, przede wszystkim wspaniale opracowany, bardzo obszerny atlas Włoch, zawierający liczne mapy szczegółowe i zdjęcia lotnicze. Szereg map przedstawia tereny poddane na wielką skalę melioracjom, przed i po ich dokonaniu. Widać z nich ogrom osiągnięć w zagospodarowaniu niedawnych bagien i innych nieużytków.

Prace sekcyj i komisyj odbywały się w pięknym, nowoczsnym gmachu politechniki, położonej w nowszej dzielnicy rozlegle rozbudowującej się Lizbony. W referatach komisyj, które w przerwie między kongresami zajmują się opracowaniem pewnych wspólnych problemów, przedstawiono wyniki prac. W pracach tych komisyj w zakresie antropogeografii punkt ciężkości przeniósł się na problemy geografii rolniczej. Z pośród sekcyj najczynniejsze były: geografii fizycznej, antropogeografii i kartografii. W tej ostatniej zajmowano się wiele nowymi metodami, przedstawieniem nowych map, sprawą unifikacji znaków kartograficznych. W sekcji geografii fizycznej znaczna część referatów zajmowała się wpływem czynników klimatycznych na rzeźbę terenu, a w sekcji antropogeograficznej zmianami krajobrazu pod wpływem człowieka.

Bardzo ciekawe i aktualne były referaty o nowszych przeobrażeniach krajobrazu na skutek nawodnienia, przeprowadzenia kolei lub dokonania reformy rolnej, szczególnie w Hiszpanii i Portugalii. I tak, jałowy niegdyś obszar delty rzeki Ebro stał się szczególnie w nowszych czasach jednym wielkim polem ryżowym dzięki wielkim pracom irrygacyjnym. W Nawarze i w Aragonii w miejsce pasterstwa i uprawy oliwek panuje dziś dzięki nawodnieniu intensywna uprawa buraków cukrowych, lnu, bawełny i alfalty. W prowincji Walencji na skutek reformy rolnej kwitną dziś sady i winnice w miejsce nieużytków i lasów. Portugalia też jest w dobie doniosłych przemian rolniczych, o czym można było przekonać się podczas sześciu wielodniowych wycieczek kongresowych po całej Portugalii.

W ciągu ostatniego stulecia pod wpływem dużego przyrostu ludności wiele nieużytków stopniowo zalesia się tam sosną, cennym produktem na eksport dla przemysłu lub zamienia na role. Regularne plantacje drzew oliwkowych są dziełem zaledwie kilku ostatnich dziesiątków lat. W obszarach, obfitujących w wodę, lub nawadnianych zapomocą studzien pompujących wodę gruntową albo rzeczną, uprawia się intensywny płodozmian w gospodarstwach ogrodniczych (horta). Wieś się uprzemysławia dzięki użytkowaniu siły wodnej. Nowe drogi-koleje i szosy-przyczyniają się znacznie do podniesienia poziomu rolnictwa i wymiany produktów między wsią i miastem. Ale dopiero wielkie tamy rzeczne budowane obecnie w dorzeczu rz. Tejo i Douro mają spowodować rewolucyjne zmiany. Na dziesiątkach hektarów, które poddane będą tej irrygacji na wielką skalę, zastąpi się dotychczasową trójpolówkę, w której przez jeden rok pole ugoruje, systematycznym płodozmianem. Pójdzie za tym zniesienie pasterstwa owczego na ugorach, a cała ludność wsi gromadzkiej zostanie upełnorolniona i przesiedlona na oddzielne farmy ze skomasowanymi i ogrodzonymi gruntami. Reforma rolna, w Portugalii, w kraju przeważnie dość suchym, wiąże się ściśle ze sprawą nawadniania na dużą skalę.

Do ważnych zadań kongresu należała sprawa ożywienia działalności publikacyjnej. Idzie tu m. inn. o intensywną współpracę krajów należących do Unii w zbieraniu materiałów i redagowaniu bibliografij geograficznych międzynarodowych i krajowych oraz o wymianę publikacyj między różnymi krajami. Najpełniejszą bibliografię przedstawiła, jak i dawnej, Francja. Pod względem ogólnego dorobku licznymi publikacjami wykazały się na kongresie również Szwajcaria, Włochy, Belgia. Niezliczoną ilość broszur i map dostarczyła Brazylia, gdzie geografia rozwija się szybko i planowo na wszystkich stopniach nauczania.

W całości kongres ten przyczynił się wydatnie do ożywienia dawnych kontaktów między geografami całego globu i nawiązania nowych, do ustalenia warunków i metod dalszej współpracy międzynarodowej. Emulacja na gruncie międzynarodowym powinna też przyczynić się do wzmożenia działalności naukowej zarówno w pracach indywidualnych jak i zbiorowych. Poza tym kongres umożliwił bliższe poznanie tak ciekawego kraju jakim jest Portugalia, gdzie w części środkowej, będącej jakby zbiornikiem w budowie geologicznej całego kraju, spotkasz, obok bujnie owocujących drzew cytrynowych, pomarańczowych i oliwkowych — jabłonie, grusze i czereśchy, obok wiecznie zielonego dębu lub dębu korkowego — nasz dąb północny, lipy i platany, winnice wśród grządek kapusty, uprawę żyta, kartofli i fasoli obok kukurydzy, a w pobliżu pola ryżowe. Krzyżowanie się wpływów śródziemnomorskich, atlantyckich i kontynentalnych przejawia się również w formach gospodarki rolnej, w osadnictwie, jak i w całej kulturze.

Jedną z rzadkich osobliwości wsi gromadzkiej w dorzeczu środkowego Tejo jest zgrupowanie, jakby w oddzielne osiedle wszystkich zabudowań gospodarskich (obór, chlewów itp.) poza obrębem czysto bielonych domów mieszkalnych. W tych zaś dym, uchodzący wprost przez dach bez komina — jak w naszej kurnej chacie — z otwartego paleniska „czarnej" izby położonej na piętrze nie brudzi pięknej świetlicy i sypialni znajdujących się na parterze. Dzięki tym urządzeniom wieś robi wrażenie niezwykle schludnej.

Kongresiści zetknęli się też z dzielną ludnością portugalską, spadkobierczynią wielkich tradycyj żeglarskich. Ludność ta, zwłaszcza w swych dolnych warstwach, odznacza się wielką żywotnością i nadzwyczajną pracowitością. Miejmy nadzieję, że troska o nią ze strony sfer rządzących w skład których wchodzą wybitni intelektualiści, doprowadzi do reform społecznych w duchu prawdziwej demokracji.

Zofia Pacewiczowa.

NOTATNIK

BOGACI I UBODZY

W Katedrze „Notre Dame“ przemawiał niedawno z ambony jezuita ks. Riccardo Lombardi. Ksiądz ten zwany „włoskim Ks. Sheen“, wsławił się swymi kazaniami, które we Włoszech przyciągają tysięczne tłumy. Wylądował on na lotnisku „Le Bourget“ w towarzystwie kilku Kawalerów Maltańskich, przywożąc do Francji wykonaną z cedrowego drzewa kopię Matki Boskiej z Loretto. Jest to dar dla Włoskiej Misji Katolickiej, której powierzona została opieka duchowa nad dwoma milionami emigrantów Włoskich we Francji.

Po uroczystym wręczeniu Statu w Katedrze Paryskiej przedstawicielom Włoskiej Misji, została ona przewieziona do kościoła Saint-Sulpice, gdzie pozostanie na stałe. Przez trzy dni z rzędu świetny kaznodzieja wygłaszał w tym kościele płomienne kazania, w których wzywał wiernych do oporu przeciw ideom wrogim Kościołowi szerzeniem miłości bliźniego. „Potępieni będą bogaci, mówił młody jezuita, jeśli nie potrafią wzniecać w sobie woli miłości i dzielić mienia z ubogimi, potępieni będą ubodzy, jeśli nie potrafią wzniecić w sobie woli miłości, która uśmierzy w ich sercach nienawiść i wstrzyma ich od stosowania gwałtu“.

LUDZIE TYPU C.

Brytyjski Minister Oświaty p. Tomlinson rozważał w Izbie Gmin sprawę poziomu nauk na uniwersytetach w związku z powiększającą się wciąż ilością słuchaczy. „Zadaję sobie zawsze pytanie—mówił Minister — czy w zamian za wydane pieniądze otrzymujemy ekwiwalent pod względem wartości tego, co wytwarzamy? Pan Tomlinson ma swoją pod tym względem teoryjkę. Chce produkować ludzi o trzech zasadniczych cechach. Nazywa to systemem trzech liter C. Na pierwszym miejscu stawia — kompetencję (competence). Chodzi mu o wychowanie kompetentnego narodu choćby nawet z punktu widzenia materialnego. Drugą cechą ma być — ciekawość (curiosity). Trzecią — sumienność (conscience). Minister zadaje pytanie „A dlaczego nie charakter (character)“? Wyjaśniając, uzasadnia to w sposób nie bardzo przekonywujący tym, że sumienność wypływa właśnie z charakteru.

Słuchając tych wywodów Earl Winterton wtrącił: „Przed 40-tu laty postawilibyśmy wśród trzech liter C na pierwszym miejscu — chrześcijaństwo (christianity)!“

Przydałoby się to i teraz.

WIELKA LOŻA NIEMIEC

W protestanckim historycznym Kościele św. Pawła we Frankfurcie 19 czerwca odbyła się uroczysta inauguracja Zjednoczonej Wielkiej Loży Wolnomularskiej Niemiec. Kieruje ona 145 lożami w Zachodnich Niemczech.

Jeśli na tym ma polegać reedukacja Niemiec...

ROZUM PO SZKODZIE

Strajk w dokach londyńskich uniemożliwiał wyładowanie 100 statków kanadyjskich. Czy my Polacy, którzy dobrze znamy metody penetracji komunistycznej moglibyśmy na chwilę mieć wątpliwości, że taki strajk jest dziełem agend kominformu? Po szeregu dni trzech posłów do parlamentu dochodzi do tegoż przekonania i mówi strajkującym: „Jesteście igraszką w rękach komunistów“, a jednocześnie zwraca się do wojskowego wywiadu, by przeprowadził badania dla odkrycia „organizacji, która ma na celu rozstrój życia gospodarczego tego kraju“. Rozstrój metodycznie przeprowadzany jest nie od wczoraj i dawno warto było podobną organizację unieszkodliwić, ale Anglia i St. Zjednoczone wolą kosztem miliardów na własnej skórze drogą eksperymentalną zapoznawać się z tym, czym jest w rzeczywistości zimna wojna.

W przyswojeniu sobie tego tematu zarejestrować możemy już pewne postępy. Posłuchajmy np. wybitnego Anglika. Widać, że przeszedł on już kurs klasy wstępnej: „Jestem pewien — powiada — że gdyby mężczyznom i kobietom, które zbudowały nasz ruch (Labour Party) zakomunikowane zostały prawdziwe fakty o dzisiejsz Rosji, to by powiedzieli: — to nie jest socjalistyczne społeczeństwo. Tam nie ma wolności. To jest klasyczny typ policyjnego państwa, takiego samego jakim była Rosja za czasów Carów. Są tam podziały klasowe ,nawet rażące. Nie ma tam wolności mowy, sumienia czy osoby“. Tak mówił w Manchester w dniu 6 lipca 1949r. na wielkim meetingu brytyjski premier Attlee.

Tych ,którzy są sprężyną strajku nazywa „hipokrytami, będącymi narzędziem obcej dyktatury“. Podobne wykłady jako spóźnione już nie wystarczają.

GŁODÓWKA PRZYMUSOWA

Przed kilku dniami z Pragi przyszła wiadomość, że arcybiskup Beran rozpoczął głodówkę na znak protestu przeciwko prześladowaniom Kościoła przez komunistów w Czechosłowacji. Niezmiernie ciekawe światło rzuca na tę sprawę list ogłoszony w jednym z dzienników rzymskich.

List ten pochodzi od księdza czeskiego z Pragi i wysłany został potajemnie. Ksiądz ów potwierdza wiadomoć o głodówce arcybiskupa, ale wyjaśnia, że nie jest to demonstracja lecz konieczność. Komuniści usunęli cały dawny personel z pałacu arcybiskupa i obsadzili pałac wyłącznie swoimi ludźmi. Jak autor listu podkreśla, również kucharz jest agentem komunistycznym. Arcybiskup został ostrzeżony o grożącym mu niebezpieczeństwie śmierci... naturalnej w tamtych stronach świata.

Niesposób tu oprzeć się myśli o analogii z pewnymi niewyświetlonymi okolicznościami śmierci ś.p. ks .kardynała Prymasa Hlonda.

PO DYMITROWIE

Jerzy Dymitrow były sekretarz generalny Kominternu i były dyktator Bułgarii zmarł na kuracji w Rosji . Był to jeden z najbardziej zagorzałych ale i najkłopotliwszych dla Kremla, jako człowiek o sporym ciężarze gatunkowym, nierosyjskich komunistów.

Z tego gatunku pozostali jeszcze bodaj tylko Tito i Thorez we Francji, reszta to już tylko agenci policyjni i agitatorzy partyjni. O Thorezie słyszeliśmy ostatnio, że Wyszyński w czasie zjazdu paryskiego dawał Francuzom do zrozumienia, że za pewne poparcie polityki sowieckiej na terenie międzynarodowym, parzuci partię komunistyczną we Francji i Thoreza. O Ticie donosi prasa francuska, że porzucenie przez Sowiety popierania żądań jugosłowiańskich w stosunku do Austrii jest zapowiedzią zasadniczej rozprawy z buntowniczym marszałkiem i że rozprawa ta nastąpi jeszcze tego lata. Brygady „komitadżich“ już się podobno grupują w sąsiednich państwach.

CZĘŚĆ EUROPY Z PRZYSZŁOŚCIĄ

Ukazało się wydawnictwo statystyczne Narodów Zjednoczonych „1948 World Economic Report“. Przynosi ono uderzające i bardzo nieprzyjemne dla Ameryki porównanie rozwoju produkcji w zachodniej i wschodniej Europie. W porównaniu z rokiem poprzednim produkcja w Polsce wzrosła o 32 punkty, w Bułgarii o 31, w Finlandii o 18, w Czechosłowacji o 15. Tymczasem produkcja w W. Brytanii wzrosła o 12 punktćw, we Francji o 14, we Włoszech o 4, w Belgii o 7, w Norwegii o 10.

W Jałcie wydawało się Anglosasom, że oddają Rosji mniej interesującą, uboższą i zacofaną część Europy. W rzeczywistości oddali tę połowę Europy, która ma przed sobą przyszłość i większe możliwości. Bardziej prężna ludnościowo, nie przesycona kapitałami, Europa Środkowo-Wschodnia ma możność, co wykazała już w okresie między wojnami, szybkiego rozwoju przemysłowego. Europa zachodnia bez wschodniej musi uschnąć, środkowo-wschodnia może, rozwinąwszy przemysł, obejść się bez zachodniej, gdyby tylko nie była eksploatowana przez Sowiety. Wedle tej samej statystyki obroty między państwami środkowo-wschodniej Europy wzrosły w porównaniu z rokiem 1938 do 288 procent, gdy obroty między państwami zachodniej Europy spadły do 72 procent.

Oczywiście wszystkie statystyki z sowieckiej części świata należy brać ostrożnie. Nawet jednak odliczając dużą część na propagandę pozostaje niewątpliwy fakt żywotności gospodarczej Europy środkowo-wschodniej.

JUŻ SĄ NOWI KANDYDACI

Jak twierdzi znany publicysta amerykański, Alsop, w Stanach Zjednoczonych już się zarysowuje współzawodnictwo między ewentualnymi kandydatami na Prezydenta w roku 1952. Jednym z nich jest obecny minister wojny („sekretarz dla obrony“) Johnson, drugim minister spraw zagranicznych („sekretarz stanu“) Acheson. W chwili obecnej muszą oni współpracować jak najbliżej i dotąd działają zgodnie. Chodzi o to, czy potrafią utrzymać się w tej roli przez następnych parę lat.

NIEZWYKŁA AUTOOPERACJA

Pewien niemiecki lekarz z Hamburga, Herr, dokonał niedawno niezwykłej operacji na samym sobie. Wycięcie własnego wyrostka robaczkowego zajęło mu około 4 godzin czasu, a po zaszyciu rany dr Herr powrócił do zajęć codziennych. Operacja odbyła się w pozycji leżącej i bez pomocy lustra, w towarzystwie asystenta i siostry, którzy podawali dr Herrowi narzędzia. Po operacji pacjent nie odczuwał żadnych dolegliwości i o własnych siłach opuścił salę operacyjną.

Należy zaznaczyć, że nie był to pierwszy wypadek tego rodzaju. W roku 1912 dr Betram Alden z San Francisko próbował wyciąć własny wyrostek robaczkowy, nie udało mu się jednak doprowadzić operacji do końca i zmuszony był skorzystać z pomocy innych chirurgów. Inny lekarz, dr Robert Meals z Hollywood, próbował dokonać tego samego wyczynu, ale również mu się nie udało, gdyż wyrostek jego znajdował się w nienormalnym położeniu. Udana operacja dr Teodora Herra odbyła się w szpitalu w Hamdorf, w Niemczech.

WŚRÓD KSIĄŻEK O KULTURZE

BADANIA zjawisk kultury i jej historii, prowadzone przez uczonych brytyjskich i amerykańskich w bardzo szerokim zakresie, uzyskują niezwykle ciekawe wyniki i znajdują żywe zainteresowanie w społeczeństwie W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych Miarą tak zakresu studiów jak i zainteresowań jest tak ilość publikacji jak i ilość wydań poszczególnych publikacji.

W dzisiejszym omówieniu chcę zwrócić uwagę na dwa przedruki. a mianowicie: J. A. Toynbee: **A study of history*)** i R. Benedict: **Patterns of culture.*)**

Interesuje nas pytanie, czym wyróżniają się te książki, co nowego wnoszą?

Praca Toynbee'go jest śmiała próbą systematyki zjawisk powstania, rozwoju, upadku i rozpadu kultur. Omawiając te zjawiska w ich różnych rozwiązaniach, Toynbee czerpie przykłady z różnych kultur w sumie z wszystkich dotychczas wyodrębnionych przez naukę 26 kultur świata.

Bardzo ważną rolę w systemie naukowym Toynbee'go odgrywa jego pogląd ,że czynnikami konstytutywnymi dla kultury nie jest ani środowisko materialne ani biologiczne czynniki rasy ale duchowa postawa człowieka w stosunku do środowiska, czyli sposób reagowania na dany zespół warunków. Kulturę tworzy więc człowiek niezdeterminowany środowiskiem materialnym i czynnikami rasy. Ten pogląd Toynbee'go przypomina wywody C. Dawsona i Jose Ortega y Gasset. Wzory kulturalne nie są tworem całego społeczeństwa lecz twórczych nielicznych zespołów (creative minorities). Dzięki oddziaływaniu owych twórczych zespołów wytworzone przez nie wzory są przyjmowane przez całe społeczeństwo.

Rozwój kultury jest ciągłym szeregiem pozytywnych odpowiedzi, reakcji (response) na wyzwanie warunków (challenge). Dynamizm rozwijający się kultury polega na tym, że odpowiedź na pewną podnietę staje się w przyszłości podnietą, wyzwaniem dla następnej odpowiedzi.

Załamanie się kultury następuje na skutek zaniku siły twórczej w twórczej mniejszości społecznej, zaniku spoistości społecznej i pewnego rodzaju buntu społeczeństwa przeciw twórczej mniejszości.

Rozpad jest ostatnią fazą życia kultury. Cechuje się standaryzacją i mechanizacją przejawów kulturalnych.

Innych zagadnień dotyczy książka R. Benedict: Patterns of Culture. Tematem jej są trzy kultury pierwotne: ludów Meksyku (tzw. Pueblo), ludów na wyspie Dobu (w pobliżu Nowej Gwinei) i ludów na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki. Równie jak systematyczna analiza tych kultur ciekawe są i uwagi ogólne o kulturze. Autorka odrzuca czynniki biologiczne w tłumaczeniu powstania odrębnych kultur. W wyjaśnieniu tego zjawiska należy posługiwać się jedynie czynnikami kulturalnymi. Po drugie kultury trzeba traktować jako strukturalne całości, W konsekwencji tego wzory i formy danej kultury trzeba ujmować funkcjonalnie i w łączności z całością kultury. Po zajęciu takiego stanowiska znacznie trudniej jest tłumaczyć zjawisko braku integracji kultury. Autorka uważa, że występuje ono na peryferiach obszarów kulturalnych, zas węwnątrz obszarów powstaje stosunkowo rzadko.

Na jedno jeszcze spostrzeżenie autorki chcę zwrócić uwagę. Jest to zaprzeczenie przez nią słuszności popularnego przekonania o istnieniu konfliktu między społeczeństwem a jednostką. Na dualizm ten wiek XIX kładł silny nacisk. Pojęcie tego konfliktu tkwi jeszcze w sposobie myślenia szarego człowieka w. XX. Pogląd ten utrzymuje się zdaniem autorki dlatego, że istniejące ograniczenia prawne utożsamiamy ze społeczeństwem. Benedict sądzi, że znacznie wiecej potrafi nam wyjaśnić nauka. jeśli, odrzuciwszy dualizm społeczeństwa i jednostki, stanie na stanowisku wzajemnego uzupełniania się jednostki i społeczeństwa.

Nauka o kulturze rozwijała się przed wojną szczególnie żywo w Niemczech. Różnice między anglosaską a niemiecką nauką o kulturze są bardzo duże. Główna z różnic — byłaby następująca: Niemcy poszli śladami Windelbanda, Diltheya, Rickerta i w pracach Simmla, Troeltscha, Webera czy Sprangera stworzyli platońsko-heglowską metodologię i metafizyke kultury. Uczeni anglosascy trzymają się faktów, ziemi, zajmują się konkretnymi zjawiskami kultury, unikają efektownych lecz trudnych do sprawdzenia konstrukcji, hołdując pragmatyzmowi.

Jan Wepsięć

*) J. A. Toynbee: A STUDY OF HISTORY, vols I-VI, The Oxford Press, 1948 i streszczenie tego dzieła przez D. C. Sommervell p.t. J. A. Toynbee: A STUDY OF HISTORY, The Oxford Press, 1948.

**) R. Benedict: PATTERNS OF CULTURE, Routledge, 1948.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO EMIGRACJI

W 6-tą ROCZNICĘ ŚMIERCI WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO

Dnia 4-ego lipca jako w 6-ą rocznicę tragicznej śmierci ś. p. gen. Władysława Sikorskiego zostało odprawione nabożeństwo żałobne w kościele polskim na Devonia Rd. Mszę św. celebrował infułat ks. Michalski w asyście ks prałata Staniszewskiego. Na nabożeństwie obecni byli przedstawiciele władz z premierem Tomaszewskim i gen. Wł. Andersem na czele, przedstawiciele organizacji społecznych i przyjaciele zmarłego. Symboliczny czarny katafalk okryty był flagą państwową; na zakończenie nabożeństwa rozległy się tony marsza żałobnego Szopena.

Tego samego dnia wieczorem odbyła się akademia ku czci ś.p. gen. Wł. Sikorskiego w Instytucie Historycznym im. Generała Sikorskiego, 20, Princes Gate. Na akademii przemawiali: amb. J. Lipski, amb. E.Raczyński prof. St. Stroński, omawiając znaczenie polityczne trzech podróży ś.p. Generała do St. Zjednoczonych oraz Wiston Chuchill.

MANIFESTACJA POLSKO-SZKOCKIEJ PRZYJAŹNI

Manifestacją Polsko — szkockiej przyjaźni był wieczór zorganizowany przez Scottish-Polish Society w dniu 22 czerwca br. w „Białym Orle“. Na program wieczoru złożyły się: prelekcja prof. Adama Żółtowskiego p.n. „The shape of Europe“ oraz w części artystycznej recital fortepianowy p. Bronisława Hutten-Czapskiego. Zebraniu przewodniczył znany paleontolog brytyjski dr A. Tindell Hopwood, który udzielił głosu prelegentowi. Tematem rozważań prof. A. Żótowskiego by kształt geograficzny Europy i wynikające stąd konsekwencje dla jej dziejów i kultury.

Po przerwie kompozytor p. Bronisław Hutten-Czapski, uczeń Głazunowa i Vitol'a, odegrał cały szereg własnych utworów m.in. część sonaty A-dur, kołysankę-balladę oraz 2 etiudy (F-moll i Es-moll). Zarówno oryginalne kompozycje polskiego kompozytora jak i ich wykonanie pełne finezji znalazły duże uznanie u brytyjskich gości.

BYLIŚMY W CHARTRES...



W drodze

GODZINA 7 rano, dochodzimy do Chartres. Przed nami na wysokim wzgórzu wznosi się katedra, lekko i delikatnie rysuje się na tle nieba, jeszcze nie dotknięta promieniami dopiero budzącego się słońca. W milczeniu maszeruje długi, 7 tysięczny wąż ludzi. Gdy zejść na brzeg drogi i spojrzeć w tył, za siebie ... po krańce horyzontu idą ludzie w piątkach-ekipach, lekko pochyleni pod ciężarem plecaków, zapatrzeni w zbliżający się cel wędrówki.

Katedra na wyniosłym wzgórzu potężnieje w miarę podchodzenia. Obchodzimy ją wokoło, obserwując jak znika chwilami za zieloną ścianą drzew lub stromymi dachami starych kamieniczek. I wreszcie jest. Rozetą przeogromną zachodniej fasady, pękami strzelistych rzeźb w tympanonie wejściowym pozdrawia nadchodzących pielgrzymów, zaprasza w barwiste mroki wnętrz ku Bogu, Który jest z nami tak blisko przez te trzy dni.

Pielgrzymka do Chartres stanowi poważne przeżycie w rocznym programie studentów francuskich*). Zainicjowana w roku 1911 przez Charles Péguy, skupia obecnie rok rocznie kilka tysięcy studentek i studentów z Paryża i całej Francji, z zagranicy nawet. Wyruszają dwiema drogami: „Péguy" i „Rambouillet". Idąc przez trzy dni bocznymi szosami, dochodzą do jednego miejsca docelowego, jakim jest Chartres, modląc się i dyskutując na obrany temat. Przed samym Chartres dwie drogi łączą się i już całość pielgrzymki podąża do stóp katedry.

Nie wiem czy na wszystkich uczestnikach zrobiło to takie wrażenie, ale nam do złudzenia przypominał ten pochód ludzi na polnych szosach i drogach inny, tak jeszcze niedawny pochód ludzi: ewakuacja Oświęcimia, wyjście z Warszawy i tyle, tyle innych. Prawie każdy z nas miał taką swoją drogę... To podobieństwo nie jest zresztą przypadkowe, lecz celowe, taką bowiem była przewodnia idea pielgrzymek, aby tym samym sposobem zadośćuczynić Bogu za okropności ostatniej wojny.

Każdego roku komitet obiera inny temat do przedyskutowania w czasie pielgrzymki. Technicznie odbywa się to w poszczególnych „ekipach" — po pięć osób — w czasie drogi, poczym wnioski przedstawia się podczas postoju w ramach „chapitre'u" następnej liczebnie jednostki. Kilkanaście chapitrów tworzy „route". Dwie lub trzy „route" tworzą „oranche", których dwie „Péguy" i „Rambouillet" stanowią całość pielgrzymki. Ogólnie temat omawiany jest raz jeszcze w samym Chartres podczas t. zw. „chapitre générale". Jest to podsumowanie całej trzydniowej pracy łącznie z przygotowaniem kilkumiesięcznym przed pielgrzymką i sformułowanie wytycznych dla dalszej pracy.

Tegorocznym tematem było „La charité" — miłosierdzie. Przechodząc w trakcie drogi od polskiego „chapitru" do rozmaitych francuskich grup, zorientowaliśmy się trochę w systemie ich pracy: Temat rozpracowany wcześniej został podany przewodniczącym ekip, który rozpoczynali dyskusję i zwracali uwagę na jej poziom i przebieg. Oto kilka szkicowo rzuconych myśli, dyskutowanych w czasie marszu:

...Bóg jest Miłością. Wiara w Boga zakłada wiarę w miłość. Miłość w Bogu uzewnętrznia się w momencie stworzenia człowieka następnie w dziele odkupienia. Wiara w Boga prowadzi człowieka do ostatecznego jego celu — zjednoczenia z Bogiem. Niemożność tego zjednoczenia: Istoty skończonej z Nieskończoną zostaje umożliwiona dzięki Łasce Uświęcającej — środkowi, danemu człowiekowi jako jeszcze jeden przejaw miłości Bożej ku nam. Współpraca człowieka z Łaską Uświęcającą jest koniecznością. Nasz udział w dziele miłości: „przyjaźń z Bogiem" i miłość bliźniego.

Chapitry francuskie opierają swą dyskusję o solidną znajomość literatury katolickiej. Silne związanie dyskusji z rzeczywistością przejawia się w licznych przykładach czerpanych z życia.

W jednej z grup francuskich trafiłem na niezmiernie ciekawą dyskusję o miłosierdziu względem bliźniego. Padały takie (słuszne zresztą i znane) zdania: „ On n'a pas de droit de juger les autres", „le péché est un manque d'amour".*) Ale również uwydatniał się w różnych przykładach przysłowiowy szowinizm francuski oraz słabe zrozumienie zagadnień kolonialnych: Z tą równością człowieka białego i czarnego ciągle jeszcze nie jest w porządku, jakkolwiek wielu kolorowych widziało się w czasie pielgrzymki, a niezapomnianym zupełnie widokiem była Msza św., do której służyło 2 murzynów.

Wrażeń, jak zdjęć migawkawych, przesunęła się cała taśma. Trudno je wszystkie utrwalić w krótkim sprawozdaniu. Można je tylko w taki właśnie migawkowy sposób przesunąć raz jeszcze przed oczyma wspomnieniem: Msza św. na ogromnej polanie, odprawiana jednocześnie przy głównym ołtarzu polowym i przy dwudziestu kilku stolikach, ustawionych wkoło. Chapitry ustawione promieniście, za każdym stolikiem... Mocne, tak niesłychanie właściwe francuskiemu „esprit" słowa kazania... na prawo „chapitre" chorych, najpiękniejszy chyba wyraz owej „charité". Wiozą ich na wózkach i niosą na noszach koledzy, którzy ofiarowali się w ten sposób spędzić swoją pielgrzymkę. Księża pochylają się nad wózkami, rozdając Komunię Świętą, potem rozchodzą się po całym polu wśród klęczących 7 tysięcy. Wieczorami śpiewaliśmy kompletę po łacinie. Dziwnie wyglądało to obozowisko pod gołym niebem, opalowym od zachodzącego słońca lub wyzłoconym gwiazdami. Jakże daleko odbiegał od nas szary, londyński, powszedni dzień, choć istniał stale w naszych modlitwach...

Noclegi na słomie w stodole z całą scenerią teatralnego oświetlenia latarkami, ostatnim „Salve Regina" śpiewanym przed ciszą i z takimi nieodłącznymi atrybutami stodoły jak myszy i nietoperze...

O świcie na dyszlach dwukołowego wozu, tak pospolitego we Francji, na desce przykrytej obrusem ksiądz odprawia Mszę św. W tej stodole, wobec słomy, wozu i wsi, w tym prymitywie, przypominającym żywo stajenkę betlejemską, może jak nigdy dotąd równie blisko odczuwa się żywą obecność Boga pod postaciami Chleba i Wina. W Chartres, na schodach południowego przedsionka katedry studenci szkoły dramatycznej odegrali misterium — stacje męki Pańskiej. 5 osób, minimum zmiany w stroju, ale gra i kompozycja sceniczna bez zarzutu, trzymająca widza bez przerwy w napięciu i nie wykłym nastroju. U stóp katedry plac wypełniony po brzegi pielgrzymami i mieszkańcami Chartres. Wszystkie okna wychodzące na plac, otwarte, stanowią loże, część nawet widzów ulpasowała się na wyższych partiach przedsionka, wśród gotyckich rzeźb, na tle średniowiecznych witraży.



Dochodzimy

Siedząc na końcu, na asfalcie placu, patrzę w okno ambitu, gdzie błękitem wykwita St. Marie de la Belle Verrière, najsłynniejszy z tak słynnych witraży Chartres (XII wiek). Prócz niej patronuje nam z podziemnej krypty Notre Dame-Sous-Terre. Ku Jej czci z 7 tysięcy piersi bije pod niebo pieśń fracuska, którą śpiewamy wszyscy, mając tekst w ręku. Pieśń opiewa coprawda Notre Dame de France, ale na końcu jest też taka zwrotka:

„Notre Dame de la Paix:
Faites qu'enfin la Paix revienne,
En tout pays de chrétienté.
Qu'en nos foyers Votre main ramène
Ceux que la guerre a separés".

(Matko Pokoju: spraw, aby wreszcie powrócił pokój do każdego chrześcijańskiego kraju. Niechaj znów przy naszych ogniskach dłoń Twoja zbierze wszystkich, których wojna rozłączyła).

Oto zwrotka jakby specjalnie dla naszego „chapitru".

Nie jest nas dużo, tylko czterdzieści parę osób, ale z pewnością nasz biało-czerwony proporczyk, przyczepiony do numeru (B.7.), którym oznaczony jest każdy chapitre, najlepiej i najwyraźniej zaznacza się w tłumie pielgrzymkowym. Polski chapitre po raz pierwszy w tym roku został zorganizowany jako osobna grupa (w poprzednich pielgrzymkach Polacy brali udział, lecz w chapitrach francuskich). Można powiedzieć, że właściwie odprawialiśmy swoją własną pielgrzymkę: program dyskusji, modlitwy, pieśni, różaniec, odmawialiśmy po polsku, a na postojach rozbrzmiewał „Czerwony pas" i „Jak dobrze nam" jednocześnie z francuskimi melodiami innych grup. Wydaje mi się nawet, że wywołaliśmy niejakie zainteresowanie w drodze, śpiewając sporo pieśni maryjnych—„Serdeczna Matko" „Błękitnie rozwińmy sztandary" czy „Chwalcie łąki umajone", gdy prawie jedyną melodią, jaką śpiewali Francuzi, było „Zdrowaś Mario" — „Je Vous salue" — zresztą bardzo ładne.

Na zakończenie chcielibyśmy podkreślić doskonałą organizację pielgrzymki niezwykle sprawnie przeprowadzoną przez francuskich harcerzy.

W ramach zaś całej pielgrzymki i organizację polskiego chapitre'u. Niech to będzie jednocześnie podziękowaniem „anglików", jak nas tam nazywano dla „francuzów". Za wysoki poziom duchowy, za wspaniałą organizację chapitru, za pomoc i serdeczne ustosunkowanie się do nas X. dr. Warczakowi, „wodzowi" kol. Ryszardowi M., kol. Stanisławowi S., kol. Halinie B. i wszystkim pozostałym — Bóg zapłać!

DELEGACJA Z ANGLII

*) Charles Péguy na wiadomość o chorobie syna wybrał się koleją w r. 1911 do Chartres do Matki Boskiej w Podziemiu (Notr Dame -de -Sous-Terre), w rok później odbywa swą pierwszą pielgrzymkę pieszą. W nawiązaniu do tej pielgrzymki młodzież francuska akademicka rozpoczęła przed kilku laty swoje, znane już dzisiaj w całym świecie coroczne pielgrzymki do Chartres.

*) „Nie ma się prawa sądzić drugich". „Grzech jest brakiem miłości"

„Im sroższe ciernie i głogi..."

Dokończenie ze str. 4-ej

tej chwili, gdyby miało dziesiątki setki „kół terenowych" — nie jest i nie mogłoby być jedynym czynnikiem, tworzącym atmosferę teatralną. Tworzą ją także sami ludzie teatru swoją postawą, swoim stosunkiem do zagadnień. Olbrzymią rolę odgrywa tu prasa codzienna.

Sądzę, że mimo ciężkich warunków pracy i mimo pełnego doceniania wagi teatru — nie wolno żądać od krytyki, aby przestawała być sobą. Sentymentalny szantaż, domagający się chwalenia wszystkiego w imię demagogicznych haseł: „nie szkodzić", „nie dawać żeru prasie komunistycznej" — wydaje się grubą pomyłką. Konflikt, który powstał między grupą aktorów a jednym z recenzentów jest czymś godnym pożałowania. Jeśli walczymy o wolność słowa, przyznajmy ją także i od zaraz krytyce: gdy nie jest wolna, przestaje być sobą i mieć jakikolwiek sens.

Żądamy natomiast od krytyki, wszystkich pism emigracyjnych, życzliwości, czynnego wsparcia, głębszego poglądu na sprawę teatru. Jeśli prasa będzie piętnowała łatwizny repertuarowe, przedstawienia bez reżysera lub na pół amatorskie w obsadzie i jednocześnie będzie wszystkimi sposobami budziła zainteresowanie teatrem — odda mu najlepszą przysługę, przyczyni się do wytworzenia atmosfery, w której zaczną zanikać chwasty, a rozkwitać kwiaty, mnożyć się twórcze wartości, cenne artystycznie i społecznie.

W „Krakowiakach i Góralach" Wojciecha Bogusławskiego ktoś śpiewa naiwną, ale jakże prawdziwą strofę:

„Niemądry, kto u śród drogi
Z przestrachu traci męstwo;
Im sroższe ciernie, głogi,
Tym milsze jest zwycięstwo".

„TEATR, KTÓREGO PRZEZNACZENIEM......"

Prawie mimo woli wróciło echo dalekiej, wielkiej przeszłości, wróciły słowa i melodia, które brzmiały w przeddzień insurekcji kościuszkowskiej i powstania listopadowego i tyle razy potem, które leciały ze sceny na tysiączne widownie, jak iskry pożaru, przenikały w serca jak głos tajemniczego porozumienia, promieniowały, jak zachęta i podtrzymanie w uporze.

Poświęcono tu tyle uwagi i troski sprawie teatru w przeświadczeniu, że chodzi o rzecz istotną, o wartość sprawdzoną dawno i na nowo. Nie cofnięto się tutaj przed najbardziej przykrą prawdą i nie zawahano się przed najbardziej stanowczymi żądaniami w głębokiej wierze, że według nieśmiertelnych słów Stanisława Wyspiańskiego chodzi o sprawę niebłahą, o

TEATR,
KTÓREGO PRZEZNACZENIEM,
JAK DAWNIEJ TAK I TERAZ,
BYŁO I JEST
SŁUŻYĆ
NIEJAKO ZA ŹWIERCIADŁO
NATURZE,
POKAZYWAĆ
CNOCIE WŁASNE JEJ RYSY,
ZŁOŚCI ŻYWY JEJ OBRAZ
A
ŚWIATU I DUCHOWI WIEKU
POSTAĆ ICH I PIĘTNO.

Tymon Terlecki

ŻYCIE KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY
Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja i Administracja — AMB 6879. Drukarnia PAD 9734
Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.
Administracja czynna: od 14 do 17 codziennie od godz. 9 do 13 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/-
Wszelkie wpłaty: przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie: f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.